

3478



12

33478



KROŽE.



KROŹE.

SPRAWOZDANIE NAOCZNEGO ŚWIADKA
o przebiegu procesu.



W KRAKOWIE,
NAKŁADEM KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ.
W DRUKARNI «CZASU» FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.
1895.



34

4181

Inw 4181



33478

7547



DZ. N.

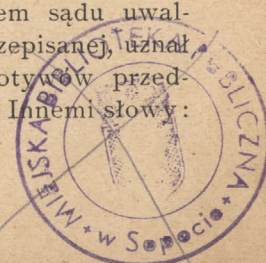
943.8.06/07

Sprawa krożańska sądzona była przy drzwiach zamkniętych. Tem się przedewszystkiem tłumaczy pewna niedokładność dotychczasowych o jej przebiegu dziennikarskich sprawozdań.

Do sali sądowej mieli wprowadzić wstęp wszyscy sędziownicy, a więc sędziowie, prokuratorzy, adwokaci, aplikanci sądowi, członkowie sądu wojennego i t. p., ogółem około 60 osób; dla wielu jednak przyczyn, nie każdy z obecnych na posiedzeniu chciał lub mógł być dobrym informatorem. W danych warunkach nie można było robić żadnych notatek, własne więc wspomnienia należałoby uzupełniać tekstem, czerpanym z protokołu sądowego, lub z ławy obrończej, gdzie znowu panowała najzupełniej okolicznościami usprawiedliwiona, ścisła dyskrecja. Obrońcy w szczególności krępowani obowiązującymi przepisami, a bardziej jeszcze praktycznymi względami zawodowej etyki, jednogłośnie i stanowczo odmówili odpisu swych notat i głosów, aż do czasu zupełnego ukończenia sprawy, t. j. ostatecznego uprawnienia i zatwierdzenia wyroku.

Obecnie położenie rzeczy znacznej uległo zmianie. Jak wiadomo wyrok sądowy zyskał już sankcję najwyższą i to w pomyślnym dla podsądnych duchu.

Młody monarcha, zgodnie ze zdaniem sądu uwalniając oskarżonych od kary, kodeksem przepisanej, uznał tem samem słusność szczegółowych motywów przedstawionego mu do uwzględnienia wyroku. Innemi słowy:



nadużycia organów administracji, w motywach wyroku zaznaczone, potępione zostały w zasadzie z wysokości tronu; ściśle więc biorąc, przestała istnieć nawet formalna, wrzekomemi względami wewnętrznej polityki państwowej osłaniana przyczyna ukrywania owych nadużyć w tajemnicy.

Wyjaśnienie powyższych okoliczności uważaliśmy za niezbędne w niniejszym przedwstępie do sprawozdania z procesu, którego treść długo jeszcze zajmować będzie ogół, jako smutne wykopalisko barbarzyństwa przy schyłku XIX wieku, jako przerażający dowód, do jakiego stopnia moralnej gangreny i rozbastwienia dojść mogą służalcze żywioły, podsycane systemem narodo-wościowego prześladowania, wyrosłym na gruncie fałszywej teorii jednolitości państwowej.

Sprawozdawczy materiał dostarczony nam został przez prawnika, który znajdował się na całym posiedzeniu sądowym w sprawie krożańskiej, a mając bezpośrednie stosunki towarzyskie prawie ze wszystkimi osobami, urzędowy udział w procesie biorącemi, postarał się wyzyskać je na rzecz udokładnienia osobistych swych wspomnień i wrażeń. Tak się złożyło niniejsze opracowanie, późniejsze od innych, ale ów brak pośpiechu pragnące i mogące wynagrodzić autentycznością najbardziej interesujących szczegółów.

Zanim przystąpimy do ich opisania w porządku proceduralnego przebiegu sprawy, sądzimy, iż będzie rzeczą właściwą, jeśli najpierw zaznajomimy czytelnika z samą widownią smutnych wypadków, a pokrótce i z jej przeszłością.

* * *

Kroże, po litewsku Krażej, miasteczko prywatne, niegdyś powiatowe, leży w samym środku Żmudzi,

w dzisiejszej gubernii kowieńskiej, o pięć mil od miasta powiatowego Rosienie, mającego, jak wiadomo, swe tradycje z 1831 r., upamiętnione w znanej wojennej piosence. Miasteczko, dziś około półtora tysiąca mieszkańców liczące, zabudowane jest na równinie nad rzeką Krożetą, wpadającą do Dubissy, stanowiącej prawy dopływ Niemna. Kościół parafii krożańskiej, czyli krożskiej, do której należą okoliczne wioski z ludnością około 4000 dusz, stoi na górze tak wyniosłej i stromej, że do niego ciekawy lub pobożny dostanie się nie inaczej jak po kilkudziesięciu stopniach kamiennych, umyślnie dla ułatwienia tego wejścia zrobionych. U podnóża tej góry płynie szeroka, a przeźroczą jak kryształ wstęga, bystra rzeka, ponad brzegami której ścielą się malowniczo drobne domki. Od nich na lewo, również na pewnem wzniesieniu widnieją mury kształtnego kościółka do niedawna PP. Benedyktynów, gdzie właśnie rozegrał się krwawy dramat gwałtu i zniewagi. Zrobimy mały nawias. W powyższym opisie wspomnieliśmy dwa razy rzekę Krożetę, wspomniemy ją raz jeszcze, wszystko to *ad usum* francuskich geografów, jeśli do nich kiedy dojdą te słowa. Wytłómaczmy się jaśniej. Natychmiast po wypadkach, jakie zaszły w roku zeszłym w Krożach, szeroko po świecie rozeszła się wieść, że Kozacy do uśmierzania wzburzonego tłumu wezwani, siekąc i tłukąc dokoła, pewną liczbę ofiar na lekko zamarznietą rzekę wpędziwszy, lub trupów tamże zawłókszy, potopili. Otóż kilka francuskich dzienników w zapale umiżgów do bezbrzeżnie umiłowanego mocarstwa, chęć przeczenia faktowi posunęło aż do twierdzenia, iż żadna rzeka nie płynie tutaj pod miastem. A piękna, choć niebezpieczna Krożeta płynie jednak, i miejscowy poeta (Franciszek Zatorski. »Polowanie«. Wilno. 1840 r.) tak opisuje jej nurty:

Jak wezbrana Krozęta ulewami wiosny
 Rwie tamy, burzy młyny, harde wali sosny,
 A gdy wyjdzie na przestwór nieścigniony okiem,
 Grozi Krożom i Kielmom gwałtownym potokiem:
 Tak i t. d.

Opowieść o potopionych w Krożach nie jest więc nieprawdopodobną, choćby przez formalne śledztwo sądowe, inne mające w danej sprawie zadanie, sprawdzoną nie została.

Ale wróćmy do przerwane go opisu. Mała miejscina, uboga, obecnie źródeł dochodu i moralnego światła pozbawiona, dawną i dość świetną ma przeszłość. W historii pojawia się już w roku 1253, gdy zakon inflancki wyłudził od Mendoga całą ziemię krożską. Przyjazne stosunki Litwy z zakonem nie trwały długo, a Kroże dostały się w nagrodę zasług, położonych dla kraju, jednemu z Kieżgajłów, zaś w r. 1559 przeszły jako zastaw w ręce emigrantów angielskich: Katarzyny ks. Suffolk i jej męża Ryszarda Berth, od których nabył prawo do Kroż Mikołaj Radziwiłł, wojewoda wileński i nad brzegami Krożęty wybudował zamek obronny. W XVII w. Radziwiłłowie używali już tytułu hrabiów na Krożach. Od 1528 roku Kroże służyły za punkt popisu dla włości czyli powiatu; tu gromadziła się szlachta na pospolite ruszenie. Popis włości krożskiej wymienia 159 obywateli, stawiających z 8 włók po jednym zbrojnym koniu.

Niezależnie od istniejącego z dawnych czasów kościoła parafialnego, Jan Karol Chodkiewicz ufundował w tem mieście kolegium jezuickie, wielkie, murowane, w którem zakonnicy założyli szkołę akademicką i kościół pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny, skasowany w wieku bieżącym. Na pamiątkę położenia kamienia węgielnego pod ten kościół, przebywający w Krożach w owej epoce przez czas dłuższy słynny poeta polsko-łaciński, Kazimierz Sarbiewski, napisał ode, której

zakończenie w hołdzie uznania dla fundatora, podług przekładu Syrokomli brzmi, jak następuje:

Widzę na wielkim bojowniczym wozie,
 Zwycięzki Karol wjeżdża wśród wawrzynów
 I Massagietów skutych na powrozie
 Wiedzie ze sobą na świadectwo czynów.
 I przy okrzykach, przy biciu móżdżerzy,
 Przeciąga orszak zasłużony światu;
 Jadą za wozem seciny rycerzy,
 Broń osłoniwszy krepą ze szkarłatu.

Fundacyę Chodkiewicza potwierdziła konstytucya 1659 r. i zapisane dobra od ciężarów uwolniła. W jezuickiej, krożańskiej świątyni podnosili głosy dwaj znakomici kaznodzieje: Piotr Skarga i Jan Bronicz, a na stallach jej zasiadali Sarbiewski, Kojałowicz, Laugsmin i Wyrwicz: byli oni nauczycielami kolegium, w którem wykładał później i historyk Naruszewicz.

Kollegium trwało aż do kasacyi Jezuitów, poczem komisyja edukacyjna urządziła tu szkołę wydziałową, oddała ją w 1797 r. XX. Karmelitom, utrzymującym 6 klas do r. 1817, poczem szkoła krożska, zreformowana na gimnazjum, obsadzona została świeckimi nauczycielami. Świetna to była szkoła, a uczniowie jej byli między pierwszymi uczniami uniwersytetu wileńskiego i zaznaczali się następnie na wyższych urzędach obywatelskich, celując zawsze szlachetnym sposobem myślenia i nieskazitelnością charakteru. Wyliczymy niektórych: Adolf Przeciszewski, marszałek szlachty powiatu rosieńskiego, który pierwszy dał przykład zaprowadzenia rękodzieł krajowych na Żmudzi, a także hodowli koni poprawnej rasy krajowej, — Franciszek Zatorski, poeta, — Szymon Staniewicz, bajkopisarz w języku żmudzki, — Antoni Szemioth, znawca języków wschodnich, — Ludwik Jacewicz, badacz starożytności litewskich, — Jan Witkiewicz, agent dyplomatyczny w Chiwie itd. W roku

1832 gimnazyum krożskie uległo wielkiej zmianie, odtąd bowiem zaprowadzony został wykład w języku rosyjskim, w r. 1842 zaś szkoła całkowicie zniesioną została.

Prócz kościoła parafialnego i jezuickiego, stanął w Krożach 1641 roku kościół i klasztor PP. Benedyktynek, fundowany przez Chryzostoma Wołodkiewicza, podsędka żmudzkiego, który w akcie fundacji powiada: »Między wielą sług i służebnic bożych, które za dobrodziejstwa wzięte od ludzi modlitwami im swemi nagradzają, są Panny reguły św. Benedykta, które ostrością żywota zakonnego służą, świątobliwością obyczajów w Wilnie, w Kownie, w Nieświeżu i na wielu innych miejscach w oczach ludzkich świecą; upodobawszy z wysokich je cnót sobie i życząc ich w ojczyźnie swojej za wzór świątobliwości i wszelkiej pobożności Żmujdkom siostrom i sąsiadkom swoim mieć, pilną i usilną prośbą moją, zaciągnąłem na Żmujdz do miasta Kroż Panny zakonne, reguły wyżej wspomnianej z klasztoru Wileńskiego«.

Pierwsze budowle tego zakładu były bardzo ubogie, lecz z postępem czasu Benedyktynki wymurowały w roku 1757 swym kosztem kościół i część klasztoru i wszystko to opasały murem wyniosłym. Już w ostatnich czasach miały zakonnice funduszu 49.611 rubli. W roku 1872 było ich 26. Przez kasacyę klasztorów skazane na wymarcie, mieszkały w kilka aż do daty, w której ogłoszenie ukazów cesarskich zapoczątkowało wypadki, wiążące się już bezpośrednio z krwawą tragedją, zakończoną w sali sądowej.

W dniu 12 grudnia 1891 r. wydany został ukaz cesarski, orzekający kasacyę klasztoru Benedyktynek w Krożach i polecający zarazem przewiezienie tamecznych zakonnicek do Kowna, gdzie istnieje klasztor tejże

reguły. Ukaz, o jakim mowa, zakomunikowany został przez gubernatora kowieńskiego biskupowi dyecezyi żmudzkiej dla zastosowania się i wykonania.

Dowiedziawszy się o tych rozporządzeniach, ludność miejscowa poczęła drogą prób i podań starać się o zamianę klasztornego kościoła na parafialny, a to tem bardziej, że ten ostatni, drewniany i przez czas zniszczony, a położony przy grzebalnym cmentarzu, zdać się mógł jedynie na kaplicę przedpogrzebową. Podano tedy w ciągu roku aż pięć prób w tej materii do generał-gubernatora wileńskiego, a jedną dnia 7 lutego 1892 r. do cesarza. Ale generał-gubernator wszystkie prośby pozostawił bez skutku, a od tronu żadna nie przyszła odpowiedź. Natomiast na skutek przedstawienia ministra spraw wewnętrznych, w dniu 10 czerwca 1893 r. zapadł nowy ukaz, mocą którego fundusze klasztorne przekazane zostały częściowo na rzecz skarbu, a częściowo na wyposażenie cerkwi Zmartwychwstania w Kownie, materiały zaś z rozbiórki kościoła i zabudowań klasztornych przeznaczony został na postawienie projektowanej w Krożach szkoły gospodarstwa wiejskiego.

Nie dając za wygraną miejscowi mieszkańcy jeszcze trzykrotnie zwrócili się z prośbami do monarchy. Ostatnia z tych prób podana była 20 października 1893 r. nie w zwykłej drodze, lecz przez główną kwatere cesarską, gdzie pełnomocnicy proszących otrzymali od właściwego urzędnika ustne zapewnienie, że po kilku tygodniach będą mieli monarszą odpowiedź.

Gubernator już wcześniej, bo w maju 1893 r. zarządził przewiezienie zakonnicek przez policję do Kowna, kościół poklasztorny oddał pod czasowy nadzór miejscowego proboszcza, a zabudowania klasztorne opieczutował.

Powziąwszy wiadomość o spełnionych faktach, konsystorz dyecezyalny porucił delegowanej *ad hoc* komi-

syi, złożonej z dziekana X. kanonika Jastrzębskiego, sąsiedniego proboszcza X. Jawgiela i miejscowego proboszcza X. Renadzkiego, zając się wyniesieniem z kościoła wszystkich świętości i kościelnych aparatów, a następnie klucze oddać miejscowej policji.

Wiść o zbliżającym się faktycznem zamknięciu kościoła wywarła wśród ludności przynębiające wrażenie. Postanowiono bądź co bądź czekać na ostateczną cesarską decyzję, a przed jej otrzymaniem nie ustąpić z kościoła: i tu zaczyna się bierny opór, na tle którego rozwinęły się dalsze wypadki.

Spełniający rozporządzenie władzy duchownej miejscowy wikary, X. Możejko, trzykrotnie zamierzał przy odprawianiu mszy św. zużyć komunikanty, aby tym sposobem uniknąć przykrego dla wiernych widoku usuwania św. Sakramentów wśród ponurego ceremoniału; ale za każdym razem tłum zwartą ławą około wielkiego ołtarza ściśnięty, stanowił zaporę, przez którą nie mógł się ksiądz dostać do głównego cyborium i mszę św. przy bocznym ołtarzu odprawić był zmuszony.

Nacisk ze strony władz świeckich nie ustawał, a więc i konsystorz zmuszony był powtórzyć swe polecenie. Wskutek tego X. Możejko w d. 6 października o godzinie 5 rano, wpuszczony do kościoła bocznymi drzwiami przez jedną z kobiet, albowiem kluczy od wielkich drzwi, tłómacząc się zagubieniem takowych, nie wydał mu miejscowy zakrystyan, udał się wprost do wielkiego ołtarza, otworzył cyborium dobranem narzędziem, wyjął puszkę z Najśw. Sakramentem i niosąc ją w sposób uroczysty, postępował ku wyjściu przez korytarz klasztorny. Tu jednak napotkał nieprzewidzianą przeszkodę. Tłum, przeważnie z kobiet złożony, zastąpił księdzu drogę i zażądał odniesienia puszek z powrotem.

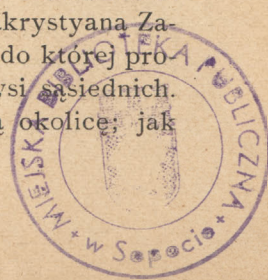
To, co dalej nastąpiło, stanowi już jeden z punktów oskarżenia, które twierdzi, że na osobie X. Mo-

żejki dopuszczono się czynów gwałtownych, że związane mu ręce i nogi. i że zelżono go słownie i czynnie. Jak zobaczymy niżej, cały ten wielce drażliwy punkt oskarżenia skutecznie przez obronę odparty został; tu dla porządku zaznaczamy, iż puszka z Najśw. Sakramentem, postawiona przez X. Możejkę około ściany korytarza, odniesioną została na ołtarz przez jednego z późniejszych obwinionych.

Na drugi dzień po opisanem zajściu przyjechali do Kroż X. Jastrzębski i X. Jawgiel i w obecności powiatowego isprawnika (naczelnika policji) tłómaczyli zebranemu przed kościołem ludowi, konieczność poddania się rozporządzeniu władzy, otrzymali jednak jednobrzmiącą odpowiedź, że parafia chce i ma nadzieję doczekać się cesarskiej rezolucji, a przed otrzymaniem takowej nikogo do kościoła nie puści i nic z niego wynosić nie pozwoli.

Takaż sama próba dostania się do kościoła, i również bezskutecznie, odbyła się i dnia następnego t. j. 8 października. Zebrany przed kościołem naród oświadczył kategorycznie, iż kościoła zamknąć nie pozwoli. Żadnych gestów groźbę stanowić mogących, isprawnik w tłumie nie zauważył, ale, jak powiada, w wyrazie twarzy tych ludzi widniała taka rezygnacja i stanowczość, iż na wejście do kościoła nie można się było decydować, gdyż przyszkoloby niewątpliwie do zaciętego oporu.

Jak przeprowadzone śledztwo poucza, zbieranie się tłumu w kościele podczas przyjazdu urzędników i księży nie było wypadkowem. Już z początkiem sierpnia zorganizowano stałą straż t. j. ludzie czuwali naprzemian, luzując się w sposób praktykowany na odwachach. Mieli nawet stałą swą kuchnię w domu zakrystyana Zajewskiego i u małżonków Kłopotowskich, do której produkty dostarczane były z miasteczka i wsi sąsiednich. Kościół stoi na górze, z której widać całą okolice; jak



tylko więc czuwający na wieży improwizowani strażacy zauważyli podejżdżający do miasteczka jaki obcy, podejrzany ekwipaż, wnet uderzali w kościelne na całą Żmudź słynne dzwony, i na to święte hasło zbiegał się tłum do kościoła.

Taki stan rzeczy a w szczególności bezskuteczność działania władz powiatowych i duchowieństwa zniecierpliwiły gubernatora kowieńskiego, rzeczywistego radcę stanu Klingenberg. Postanowił tedy osobiście dokonać zamknięcia kościoła i w tym celu przybył do Kroż w nocy z 9 na 10 listopada. Przed przyjazdem wydał rozporządzenie o skoncentrowaniu na daną datę w Krożach 50 konnych strażników (uradników), 12 podoficerów żandarmskich i 7 urzędników wojskowo-policyjnych, a nadto zażądał telegramem z miasteczka Wornie trzech secin kozaków, którym rozkazał stawić się na 8 godzinę rano dnia 10 listopada. Poleciał również sprowadzić do Kroż XX. Jastrzębskiego i Jawgiela. Zbudzono ich w nocy, wsadzono na przygotowane podwozy i przewieziono w otoczeniu policyi. Na miejsce wezwano także i przyłączono do orszaku miejscowego proboszcza X. Renadzkiego i wikaryusza X. Możejkę. Tak sformowaną została ekspedycja wykonawcza.

O godz. 3 w nocy gubernator Klingenberg w otoczeniu pułkownika żandarmów Żółkiewicza, sztabrotmistrza Semionowa, radcy sądu gubernialnego Kożyna, i kilku urzędników, prowadząc za sobą czterech księży, staje na cmentarzu kościelnym. Tuż za tym orszakiem postępuje siła zbrojna.

Naokoło kościoła pusto, ale kościół oświetlony rżęsiście i z jego wnętrza dochodzą wyraźne dźwięki pieśni pobożnych. Konni uradnicy, pod dowództwem prystawa, Hofmana, zajmują przestrzeń między murem cmentarza otaczającym, a samym kościołem; żandarmi tworzą awangardę.

Przystępując do opisu wypadków, stanowiących punkt ciężkości w samej sprawie, tak dla zrozumienia odnośnych ustępów w obronach, jak i dla zachowania kolorytu, zabarwiającego akt oskarżenia, pójdziemy tutaj prawie niewolniczo za tekstem tego dokumentu.

Gubernator chciał wejść do kościoła, ale w samych drzwiach zetknął się z żywą zaporą. Na czele zbitego tłumu w samym przejściu dwóch ludzi, przepasanych białymi ręcznikami, trzyma na nich oprawne w ramy, ozdobione girlandą sztucznych kwiatów, portrety cesarskiej pary. Za nimi w pośrodku poważny mężczyzna, przybrany w komżę, wznosi nad ich głowami wielki krzyż, używany podczas procesyi. Klingenberg zatrzymał się przed tą grupą, a zwracając się do stojącego za nią tłumu, oznajmił o celu swojego przybycia i za wezwanie dały się słyszeć prośby o odroczenie zamknięcia, aż do zdecydowania kwestyi przez monarchę. Z kolei gubernator zapewnił, że decyzya w duchu odmownym już nastąpiła i dlatego kościół musi być natychmiastowo zamknięty. Gdy zaś to zapewnienie nie poskutkowało, rozkazał uradnikom zamknąć siłą drzwi kościoła. Wtedy pierwsze szeregi ustąpiły, część tłumu wyszła z kościoła, a część, jaka pozostała, »złożona przeważnie z kobiet, została wydalona z kościoła przez policyjnych uradników za pomocą nahajek«. W tej chwili gubernator wraz ze swem otoczeniem, ze względu na pogróżki, jakie z tłumu słyszeć się dawały, obawiając się, aby ci co już wyszli z kościoła, nie zwrócili się przeciw niemu, rozkazał uradnikom wypędzić ich nahajkami za parkan cmentarny. Ale jak tylko — są słowa aktu oskarżenia — uradnicy przystąpili do spełnienia danego rozkazu, z pośród tłumu, zebranego za parkanem, dały się słyszeć wystrzały i poczęły padać pociski (drewnianemi kółkami), z których jeden trafił w gubernatorską

czapkę. Wobec tak groźnego niebezpieczeństwa, gubernator »rozkazał dać kilka wystrzałów w powietrze«. Ten środek powstrzymał na razie zapędy tłumu, z czego korzystając pan Klingenberg wraz z najbliższem otoczeniem, zdołał się schronić do opróżnionego kościoła. Wraz z nim znaleźli się w kościele: radca Kożyn, urzędnik Smoleńskij, isprawnik Wichman, dwaj księża, pięciu żandarmskich podoficerów i kilku policyantów różnych stopni, którzy też natychmiast zatarasowali za sobą drzwi wchodowe kościelnymi ławkami i konfesyonałami. W tym czasie pozostali na cmentarzu pod komendą policyjnych oficerów uraadnicy »zostali przez tłum wyparowani na zewnątrz ogrodzenia, a pułkownik żandarmów Żółkiewicz, sztab-rotmistrz Semionow i czterech żandarmskich podoficerów, nie zdążwszy wejść za gubernatorem do kościoła i nie uważając za możliwe pozostać na miejscu pod grozą napaści, wyszli z cmentarza przez boczną furtkę i odjechali z Kroź«.

Rozmyślnie przytoczyliśmy ostatni ustęp dosłownie z aktu oskarżenia, aby zaznaczyć, iż prawdopodobnie oficerowie żandarmeryi nie akceptowali postępowania Klingenberga i musieli mieć poważne ku temu racje, skoro następnie zdołali usprawiedliwić wobec zwierzchniej władzy ów nagły swój odjazd z widowni wypadków.

Wracamy do przerwanego opowiadania. Ucieczka do kościoła nie była dostatecznem zabezpieczeniem. Tłum i przez boczne drzwi i przez główne, które mimo zabarykadowania wkrótce wyłamano, dostał się do kościoła. Orszak gubernatora, myśląc o swem bezpieczeństwie, pomieścił się na platformie schodów, wiodących na chór. Miejsce było dobrze wybrane, bo z jednej i z drugiej strony łączyło się ze schodami za pomocą korytarza tak wąskiego, że łatwo było zatamować przejście, ustawiając przy takowem po dwóch ludzi z nabitemi re-

wolwerami, z których też od czasu do czasu strzelano »w powietrze«. Środek ten jednak wobec rozdrażnionego nastroju masy nie mógł mieć decydującego znaczenia, rozpoczęto więc parlamentowanie.

Tłum żądał, aby gubernator okazał podpis cesarski, następnie groził, iż przetrzyma uwięzionych choćby dni kilka w kościele, nakoniec obiecywał wypuścić obleżonych, ale pod warunkiem, iż spisany zostanie protokół, w którym gubernator własnoręcznie poświadczy, że »Rosyane jak rozbójnicy nocą wpadli do kościoła i na podobę Turków, Tatarów i Czerkiesów splugawili świątynię«. Snać te kilkagodzinne pertraktacye, podczas których na wieży jęczały dzwony, a w kruchcie bito w bębny kościelne, nie wróżyły niczego dobrego, skoro gubernator wrzekomo zgadzał się już na napisanie żadanego protokołu i prosił tylko o dostarczenie mu materiałów piśmiennych. Podano mu je na żerdzi, bo obie strony nie dowierzały sobie wzajemnie i nie dopuszczały do bezpośredniego zetknięcia. Gubernator zaczął grymasić: to pióro niedobre, to atrament nie dość czarny, wszystkie zaś te wymówki, zarówno jak poprzednie godzenie się na warunki, obliczone były na zwłokę, na doczekanie się zamówionych na 8 godzinę rano kozaków.

I nadeszła fatalna godzina. Trzy seciny kozaków obległy kościół, rozpedziły tłum, wyswobodziły gubernatora. Tu podniósł głowę pan życia i śmierci. Ścisłym łańcuchem rozjuszonego kozactwa rozkazał całe opasać miasteczko. Ściągając pierścień tego łańcucha, aresztowano wszystkich napotkanych po drodze i znalezionych po domach, w których odbyto ścisłą, z rabunkiem i gwałtami połączoną rewizyę. Spędzonych na rynek przed dom zarządu gminnego, segregowano dowolnie podług wskazówek i dobrej woli uradników, którzy winnych poznawać mieli. Ostatecznie zaaresztowane kobiety od-

prowadzono do stodoły, mężczyzn pozostawiono na placu dla barbarzyńskiej egzekucyi. P. Klingenberg zapragnął odegrać rolę Mikołaja I. »Na kolana! — krzyknął do nieszczęśliwych — na kolana przedemną! Teraz wiecie, teraz ja wam dowiodę, że jestem prawdziwy gubernator.« I rozpoczęła się kaźń okrutna. Każdego z zatrzymanych rozbierano ohydnie, kładziono po kolei na ziemi i ćwiczono batogami w ilości 30 do 40 uderzeń. Krew lała się strumieniami przez dzień cały. Dopiero pod wieczór na skutek dosłyszanej wieści przybył do Kroż prokurator sądu okręgowego kowieńskiego i swoją urzędową interwencją dalszemu pastwieniu się kres położył.

Co działo się w stodole, do której zawleczono kobiety, a bardziej jeszcze co działo się z niemi obok stodoły, gdzie gospodarowali rozbastwieni i wszelkiej kontroli pozbawieni kozacy, o tem, ograniczeni ramami sądowego sprawozdania, mówić nie możemy. Są przestępstwa, których dochodzić można tylko wskutek wyraźnej i formalnej skargi osoby poszkodowanej, a chyba łatwo się domyślić tysiąca przyczyn, dla których ze strony zbezczeszczonych kobiet skargi podane być nie mogły.

Wiadomość o wypadkach krożańskich doszła do sfer najwyższych — skutkiem czego wydelegowany został dyrektor departamentu wyznań, hrabia Kantakuzen, do przeprowadzenia administracyjnego śledztwa. Sumienny dygnitarz znalazł, że organa administracyi były w zupełnym porządku, a wszystkiemu winna była twarda dusza litewska. — Nie chcąc że sprawozdaniem sądowem mieszać rzeczy osobiście nie sprawdzonych, nie opowiadamy kto i w jakiej formie oświecił zmarłego cesarza Aleksandra III o tem, iż urzędowy delegat z bardzo nieczystych pobudek okłamał swego monarchę. To pewna, że podczas swego pobytu w Wilnie, z powodu owego

śledztwa, Kantakuzen otrzymał od generał-gubernatora Orzewskiego świadectwo i protekcję do arcykorzystnego nabycia znacznych dóbr na Litwie, że wkrótce popadł w carską niełaskę, a wieść publiczna wrażeniom owej niełaski przypisuje nawet rychłą śmierć usuniętego od władzy smutnej pamięci urzędnika.

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że zmarły cesarz zapragnął bądź co bądź dowiedzieć się jakiejś prawdy o tem, co stało się w Krożach — i temu przypisać należy, że sprawa, rozwinięta przeciw oskarżonemu o opór władzy, nie była załatwioną w drodze administracyjnej, lecz oddaną została do osądzenia zwykłym sądom.

Sprawy o opór władzy wyłączone są z kompetencyi sądów przysięgłych; — sędzi je Izba sądowa z udziałem przedstawicieli stanów. W takim też składzie otwarte zostało w dniu 20 września (2 października) 1894 roku posiedzenie Izby sądowej wileńskiej dla osądzenia 71 osób, obwinionych w sprawie krożańskiej.

Za stołem sędziowskim zasiedli: prezes Stodolskij, trzech członków Izby: Niekludow, Kobeko, Jewrejnow, powiatowy marszałek szlachty Leontiew, prezydent miasta Gołubinow i przedstawiciel gminy wiejskiej Dubiński. Urząd prokuratorski reprezentował towarzysz prokuratora Izby Dobrynin.

Ławie obrończej należy się oddzielna wzmianka. Najgruntowniej opracowali sprawę w najdrobniejszych jej szczegółach miejscowi, wyznaczeni z urzędu adwokaci: Węclawski i Szostakowski. Ale z góry było do przewidzenia, że w obronach wypadnie poruszyć i wypowiedzieć wiele rzeczy, których miejscowy mieszkaniak Polak i katolik, w obecności swego generał-gubernatora bez niechybnego narażenia się na dotkliwe skutki jego zemsty, nawet dotknąć nie może. Zaciężni ludzie wzięli więc na siebie skromną rolę informatorów, ale dosłownie wcale nie zabierali, tworząc tem swem milczeniem w



mowną ilustrację miejscowych stosunków. W nieco korzystniejszym położeniu był adwokat Biały, jako prawosławny (z mieszanego małżeństwa), ale i on liczyć się musiał z danymi warunkami, które nie pozwalały mu wykroczyć za suchą granicę bytu lub niebytu imputowanych faktów. Cały więc ciężar szerszego traktowania obrony i zaatakowania siłą władzy opancerzonych elementów padał na adwokatów przyjezdnych.

Zkąd się wzięli ci przyjezdni obrońcy? Sprowadziła ich myśl Boża, co w wybranych jednostkach tkwi zawsze, nawet wśród otoczenia Sodomy; sprowadziło ich umiłowanie nieśmiertelnej prawdy, wspólnej wszystkim wiekom i plemionom, sprowadziła ich wreszcie uczciwa duma narodowa, nakazująca zaprotestować przeciw gwałtom, pod zwyrodnionem hasłem przez ich współbraci spełnianym. Mówimy tu o adwokatach rosyjskich: Andrejewskim, Żukowskim, Turczaninowie i ks. Urusowie. Co się tyczy przybyłego z Warszawy J. M. Kamińskiego, jedyne go z pośród przemawiających Polaka, ten stawiał się, aby wnieść starą, bolesną skargę w imieniu własnego społeczeństwa, krzywdzonego i poniewieranego przez długie lat dziesiątki. Niech te kilka słów wystarczą za odpowiedź jenerałowi Orzewskiemu, który przez policyjne wywiadywanie pragnął się poinformować: kto do krożańskiej sprawy zamówił obrońców.

Wprowadzono podsądnych. Przyjrzyjmy im się bliżej. Są między nimi i 80 letni starce i 16-letnie wyrostki; są ojcowie z synami, matki z córkami; to znowu dwaj bracia; małżonkowie Zajewscy z dwiema córkami, z których jedna zamężna, a druga 20-letnia dziewczyna z dziwnie idealnem, pociągającym wejrzaniem. To nie są fizyjonomie zbrodniarzy. Dobroduszość i rezygnacya malują się na tych uczciwych twarzach. I jedenastomiesięczne więzienie nie zabiło w nich ducha. Z wyjątkiem jednego, przeznaczonego na śmierć suchotnika i jednej

dziewczyny, dotkniętej epilepsją, z wyjątkiem kilku starców zdziecinniałych i paru kobiet jakby wylekłych, przeważna większość trzyma się dzielnie. Jest kilku, możemy rzec, kilkunastu, bardzo dalekich od przeciętnego, więzieniem zubożonego typu: z ich oczu biją blaski, właściwe tylko bohaterom.

Akt oskarżenia dzieli podsądnych na szlachtę, mieszczan i włościan, ale bez względu na pochodzenie cała ta ludność stoi prawie na jednakim umysłowym i ekonomicznym poziomie. Wyróżnia się od innych jedynie Dobkiewicz z małżonką — widocznie szlachta z większego zaścianka. Etnograficznie szlachta i mieszczenie są przeważnie Polakami, włościanie Żmudzinami. Pierwsi mówią oboma językami.

Po załatwieniu wstępnych formalności, Izba przystąpiła do badania świadków, z których pierwszym był gubernator Klingenberg. Na pytanie ogólne opowiadał o znanych faktach w tonie aktu oskarżenia, ale przy pytaniach szczegółowych, przez obronę zadawanych, wnet przyszło do kolizyj, przewidzianych zresztą z góry ze względu na naturę sprawy.

W czem leżała główna kwestya i jakiej była doniosłości, najlepiej to wykaże, o ile można, dosłowne odnotowanie urzędowej dyskusyi, jaka się wywiązała między prezydum a obroną.

Prezes: Upraszam obronę o niezadawanie pytań, wychodzących po za granice zakresłone aktem oskarżenia. Obrona ma za wyłączne zadanie bronić podsądnych, oskarżonych o opór władzy. Nikt inny i o nic innego oskarżany być tutaj nie może. Z chwilą, gdy opór został złamany, kończy się faktyczny materiał sądzonej tutaj sprawy, żadne więc pytania, któreby dotyczyły wypadków, jakie mogły mieć miejsce po godzinie 8 rano dnia 10 listopada, dopuszczone być nie mogą — i jeszcze raz zwracam uwagę obrony, iż nie pozwolę zadawać takich pytań.

Adwokat Turczaninow: Wysłuchaliśmy decyzji pana prezesa; pragnęlibyśmy wiedzieć, co w tej materii orzecz Izba?

Prezes (dość szorstko): możesz pan zaskarżyć moją decyzję w drodze kasacyjnej, ale w tej chwili ma ona moc obowiązującą.

Adwokat Turczaninow: W każdym razie i na wszelki wypadek, dla możliwych następstw, obrona prosi najuprzejmiej o pozwolenie zadyktowania do protokołu tych motywów, jakimi pragnęlibyśmy usprawiedliwić nasze żądania rozszerzenia granic przy zadawaniu pytań.

Prezes: To panom wolno; proszę...

Adwokat Turczaninow: Staramy się znać nasze obowiązki i granice naszych praw. Nie oskarżamy nikogo, bo rozumiemy, że ci, co nie są pomieszczeni w akcie oskarżenia, tu sądzeni być nie mogą; dla nich musiałby być inny sąd, a w każdym razie ich osądzi historia, do nas to nie należy. Jednakże i w tych skromnych ramach, zakreślonych naszą rolą w procesie, nie możemy się zgodzić na ograniczenie nas pewną chronologiczną ścianą, bo i po za nią są kwestye ściśle z obroną związane. Ja w szczególności pragnę się dowiedzieć — i sądzę, że jest to moim obowiązkiem — w jaki sposób odbywało się aresztowanie moich klientów, jak ich wyróżniano z pomiędzy masy z setek ludzi złożonej, jak się w ogóle odbywała pierwsza indagacya, z czegoby Izba mogła osądzić, ażali nie było tam jakich pomyłek, odośnie do osób. Ponieważ poznawanie ludzi, biorących udział w oporze, odbywało się już po godzinie 8 rano dnia 10 listopada, muszę więc w pytaniach moich przekroczyć za ową datę. — To są motywy, o których zapisanie do protokołu upraszam.

Adwokat ks. Urusow: Ocenienie wiarogodności świadków jest jednym z najistotniejszych zadań sądu. Dlatego z mojej strony pragnąłbym, aby się Izba do-

wiedziała, jaki był w odnośnym czasie osobisty stosunek świadków do podsądnych, czy nie było między nimi silnych rozdrażnień, prawdę zaciemnić mogących, czy który ze świadków, lub oddzielna ich grupa, nie dopuścił się przy łamaniu oporu, lub bezpośrednio po jego złamaniu, osobistych względem tego lub owego podsądnego nadużyć, bo przecież podobna okoliczność mogłaby decydować o niewiarogodności. To są przyczyny, dla których upraszam o pozwolenie zadawania stosownych, do wyświetlenia prawdy dążących pytań.

Adwokat J. M. Kamiński: Z aktu oskarżenia dowiaduję się, że pierwsze strzały około kościoła padły jakoby z tłumu. Ja w to nie wierzę, ale ażeby dowieść, że nie ja, ale oskarżenie się myli, muszę mieć do tego należycie sprawdzony materiał. Otóż materiał ten zyska na jasności, jeśli się tutaj dowiemy, jaki rezultat dały rewizye, dokonane w Krożach przez organa władzy — czy znaleziono broń, gdzie i jaką? Ponieważ rewizye te odbywały się, rzecz prosta, już po złamaniu oporu, t. j. po 8 godzinie rano dnia 10 listopada, więc obrona po za tę datę pytaniami swemi sięgnąć musi.

Adwokat Andrejewskij: We wszystkich procedurach, a także i w naszej, przy wymierzaniu kary, jeżeli nie na jej rodzaj, to w każdym razie na stopień wpływa w sposób łagodzący okoliczność, jeśli podsądny, przy spełnianiu przestępstwa lub bezpośrednio po jego spełnieniu poniósł jakie cierpienie. Otóż ja chciałbym wiedzieć i pragnę, aby Izba się dowiedziała, czy i w jakim stopniu klienci nasi cierpieli bezpośrednio po spełnieniu przestępstwa.

Prezes: Izba udaje się na naradę, celem zdecydowania podniesionych przez obronę kwestyj.

Po półgodzinnej naradzie Izba, powróciwszy do sali sądowej, wygłosiła przez usta prezesa decyzję, pozwalającą obrońcom nie ograniczać się przy pytaniach okre-

ślona datą, wszelako z zachowaniem wszelkich restrykcji co do faktów nie związanych ściśle z zadaniem obrony.

Decyzja z punktu proceduralnego była prawidłową, ale, jak widzimy, zostawiła obronie zaledwie małe okienko do skonstatowania nadużyć spełnionych przez gubernatora i niższe organy władzy, a w szczególności przez kozaków i dlatego sprawozdanie sądowe nie może dać dokładnych odpowiedzi na wiele pytań, tak słusznie interesujących społeczeństwo.

W każdym razie wyż powołaną decyzję Izby obrona starała się o ile możliwości wyzyskać. Oto przykład:

Badany jako świadek gubernator Klingenberg twierdził uporczywie, iż użycie broni palnej przez komendę wojskowo-policyjną wywołane zostało strzałami, danymi najpierw ze strony mieszkańców.

Adwokat Żukowskij: Na czym pan gruntujesz swoje twierdzenie?

Klingenberg: Huk wystrzału z broni wojskowej daje inny odgłos, a to były strzały z broni starego systemu, używanej przez brakonierów zwierzyny.

Adwokat Żukowskij: Czy po uśmierzeniu tłumu były robione rewizye, mające na celu wyszukanie broni?

Klingenberg: Tak.

Adwokat Żukowskij: I znaleziono jaką broń w domach?

Klingenberg: Nie.

Adwokat Żukowskij: A po stodołach i innych zabudowaniach czy również robiono dokładne rewizye i z jakim rezultatem?

Klingenberg: Tak, szukano dokładnie, ale nic nie znaleziono.

Adwokat Żukowskij: No, a pozwól się pan zapytać, wtedy... kiedy to... rozdzielano ludzi, kiedy część ich odzieży oddzielano (robi giest charakteryzujący obnażanie), wie pan, tam na rynku 10 listopada, czy znale-

ziono przy obnażonych jaką broń palną, jaki rewolwer lub coś podobnego?

Klingenberg: Nie.

Adwokat Żukowskij: A, i wtedy nie znaleziono. *Merci.*

Tak więc ćwiczenie ludzi na rynku w sposób najbardziej barbarzyński, zostało stwierdzone nawet zeznaniem samego dygnitarza-oprawcy.

Jednocześnie tendencyjna opowieść Klingenberga o strzałach z tłumu zdyskredytowaną została najzupełniej wobec prawdą nacechowanych zeznań pułkownika żandarmów Żołkiewicza i proboszcza parafii Kroże X. Renadzkiego.

Oto forma i rezultat badań tych świadków:

Adwokat książe Urusow: Czy obserwowałeś pan pierwsze strzały.

Pułkownik Żołkiewicz: Słyszałem je, ale nie widziałem błysku ognia, gdyż byłem odwrócony w inną stronę.

Adwokat ks. Urusow: Jako doświadczony oficer czy mógłbyś pan określić ze słuchu, z jakiego rodzaju broni dane były te wystrzały?

Pułkownik Żołkiewicz: To bardzo trudno, wszelako...

Adwokat ks. Urusow: Wszelako coś?

Pułkownik Żołkiewicz (po pewnem wahaniu): Te wystrzały mogły być dane z wojskowego rewolweru.

Niemniej dodatnie wrażenie wywarło następujące zeznanie:

Adwokat J. M. Kamiński: Czy słyszałeś pan pierwsze wystrzały i czy moglibyśmy dowiedzieć się od pana, z kąd one pochodziły?

Ksiądz Renadzki: Pierwsze wystrzały padły około murowanego parkanu. Stałem wtedy blisko gubernatora i słyszałem je dokładnie.



Adwokat Kamiński: Czy z natury huku, spowodowanego temi wystrzałami, nie możesz pan przypuszczać, że były dane ze starej, złego gatunku broni, używanej przez włościan?

X. Renadzki: Strzały pochodziły z broni wojkowej, Nikt z tłumu nie strzelał. Jako duchowny, stosownie do obowiązującego prawa, zwolniony zostałem od przysięgi, wszelako gdyby była potrzeba, gotów jestem stwierdzić przez specjalną przysięgę, że żaden strzał nie pochodził z innej broni, jak tylko wojskowej. Znam się na tem, a zresztą, mimo, że zachęcałem do zaniechania oporu, ja przecież wiem, co się dzieje w mojej parafii. Nikt z tych ludzi nie miał broni.

Z pomiędzy 280 zbadanych świadków najbardziej zwartą, ale z drugiej strony najmniej budzącą zaufania grupę stanowili policyjni urzędnicy. Wszyscy oni, a było ich 38, widocznie ulegali wpływowi zwierzchników, zeznawali jednogłośnie w materii, gdzie możliwą była instrukcja i sugestya, gdzie zaś nie starczyło tych czynników, popadali w rażące sprzeczności.

O wiele korzystniej przedstawiała się moralność żandarmów. W ich zeznaniach była także widoczną tendencyjna przychylność dla przedstawicieli władzy i ostrożna rezerwa we względzie kwestyj drażliwych, wszelako każdy z nich, przyparty do muru pytaniami, mówił prawdę, nie fałszował faktów. Niższym stopniom służyć mogli w tej mierze za przykład oficerowie.

Wyżej podaliśmy ustęp z zeznania jednego z nich, pułkownika Żółkiewicza; zeznań sztabs-rotmistrza Siemionowa nie mamy odnotowanych dosłownie, pamiętamy jednak dobrze, że złożyły się one na bardzo charakterystyczny obraz w tej mniej więcej formie:

Adwokat (jeśli się nie mylimy Andrejewskij): Czy podczas znanego zajścia przed kościołem nie doznałeś pan jakiej osobistej nieprzyjemności?

Siemionow (po pewnym namyśle): Tak.

Adwokat: Czy nie zechcesz pan powiedzieć, jakiego rodzaju była ta nieprzyjemność?

Siemionow (po pauzie): Zostałem uderzony nahażką.

Adwokat: Wśród jakich okoliczności i kto pana uderzył?

Siemionow: Nachyliłem się, aby podnieść kobietę, która upadła na schodach przy wyjściu z kościoła. Było ciemno i jeden z urzędników uderzył mnie przez pomyłkę.

Adwokat: Dlaczego pan chciałeś podnieść tę kobietę?

Siemionow: Przez proste uczucie ludzkości. Ta kobieta była ranna.

Adwokat: Mocno zakrwawiona?

Siemionow: Tak.

Badani lekarze Dr. Michał Landsberg i Władysław Lewaniewski zeznali, iż po wypadkach w Krożach udzielali pomocy lekarskiej kilkunastu osobom. W szczególności Dr Landsberg dokonał trzech operacyj wyjęcia kuli rewolwerowej. Dr Lewaniewski wykonał także 5 rozmaitych operacyj, niezależnie od swego kolegi. Jedna z leczonych przez niego kobiet, do której był wezwany we dwa tygodnie po wypadku, zmarła wkrótce skutkiem zakażenia krwi, wywołanego prawdopodobnie przez pierwotne nieprawidłowe obchodzenie się z raną. Na zapytanie prokuratora Dr Landsberg objaśnia, iż osoby, jakie zgłaszały się o pomoc lekarską, nie wymieniały swych nazwisk i w danych warunkach świadek uważa, iż dopytywanie się o nazwiska byłoby niezgodne z zasadami etyki lekarskiej.

Ramy sprawozdania nie pozwalają nam na szczegółowe pomieszczenie zeznań świadków, których badanie trwało cały tydzień. Mając zresztą na względzie, że

treść tych zeznań powołaną zostanie w rozprawach sądowych, a w szczególności w obronach, sądzimy, że obszerniejsze przytoczenie głosów obrończych da nam bardziej ożywiony, a zarazem, przy uniknięciu powtarzania, zupełnie dokładny obraz całości sprawy.

Po zakończeniu śledztwa sądowego, w ósmym dniu posiedzeń Izby, zabrał głos oskarżyciel publiczny.

Był nim towarzysz prokuratora, pan Dobrynica, człowiek około lat 40, przyjemnej powierzchowności, o łagodnym wejrzeniu, stanowiącym mimowolny kontrast z surowymi poglądami, wygłaszanymi z urzędu. Wcale niełatwe zadanie spełniał z pedantyczną sumiennością rutynowanego urzędnika, a brak zapału, na który może i trudno było zdobyć się w danej atmosferze, zastępował drobiazgowym opracowaniem szczegółów, odnośnie do każdego z oskarżonych. Rzecz naturalna, że rozporządzenia gubernatora i ich prowokacyjny charakter, nikły w zupełnym cieniu w prokuratorskiej mowie, a na pierwszy plan wysunięte zostały gołe fakta oporu ze strony podsądnych, systematycznie na grupy dzielonych.

Wycieczka na ogólniejsze pole domysłów co do przyczyn, jakie mogły wywołać zaciętość oporu, nie była pozbawioną pewnej zakulisowej okrasy, a mianowicie pan prokurator postawił hipotezę, iż ekstaza religijna w sferze prostaczków podniecana była przez miejscową inteligencję i wpływ zagranicznej prasy żmudzkiej, to jest gazet w języku litewskim w Prusiech wydawanych, a potajemnie między miejscową ludnością kolportowanych.

W konkluzji, zgodnie z aktem oskarżenia, pan prokurator sprowadza obwinienie do 4 punktów, a w szczególności:

1. Ośmiu osobom, przeważnie kobietom, stawia zarzut, iż w celu niedopuszczenia do wykonania Najwyższego rozkazu z dnia 10 czerwca 1893 r. o zamknięciu

kościół, zatrzymały X. Możejkę przy wynoszeniu Najświętszego Sakramentu i dopuściły się na jego osobie, a zarówno i na osobie spieszącego mu z pomocą uradnika, Ieraszewa, czynów gwałtownych i obelżywych.

2. Czterech podsądnych obwinia o to, iż w takimże celu, działając w zмовie z innemi osobami, tłum stanowiącemi, w dniu 7 i 8 października, zagrodziwszy wejście, nie pozwolili wkroczyć do kościoła isprawnikowi Wichmanowi, oraz księżom Jastrzębskiemu i Jawgielowi, w celu wyniesienia świętości.

3. Ten punkt jest najważniejszy, tutaj bowiem żądanem jest ukaranie 59 ludzi za to, że za uprzednią zмовą w nocy na 10 listopada, w celu przeszkodzenia wykonaniu Najwyższego rozkazu, okazali zbrojny opór gubernatorowi kowieńskiemu i towarzyszącym mu urzędnikom, przyczem dopuścili się względem tychże osób i innych czynów gwałtownych.

4. Nakoniec ostatni punkt obwinienia skierowany zostaje przeciw siedmiu osobom, podejrzany o to, że ludziom, przybyłym z sąsiednich wiosek do Kroź, w celu strażowania kościoła, dostarczały żywności i dawały schronienie w swych domach.

Czyny te, przewidziane art. 263—266 kodeksu karn., zagrożone są karą, dochodzącą do 20 lat ciężkich robót, i wymierzenia takowej zażądał pan prokurator w imieniu porządku publicznego, w imieniu niezbędnej konieczności i obowiązku utrzymania powagi władzy.

Jakkolwiek rzeczona konkluzja z góry była spodziewaną, mimowolny dreszcz przeszedł po słuchaczach, między którymi przeważała szczerą sympatya i współczucie dla podsądnych.

Wśród silnego zaciekawienia i uroczystej ciszy rozpoczął obronę adwokat Jan Maurycy Kamiński i w te przemówił słowa:

Od Boga zacznijmy...

»Pocieszycielu, Duchu prawdy, zstąp i zamieszkać z nami i oczyść nas ze wszelkiego brudu.«

Słowami kościelnej modlitwy, panowie sędziowie i przedstawiciele stanów, zaczynam obronę w sprawie, co zrodzona na stopniach kościelnego ołtarza, ma zakończyć się tutaj uroczystym orzeczeniem, jakie wypowiecie Wy, z głębokości serca waszego, z głębokości umysłów waszych, »oczyszczonych ze wszelkiego brudu.«

Aby wynaleść ową czystą prawdę, niewątpliwie Wy sędziowie musicie sobie odpowiedzieć na dwa główne pytania: kto są podsądni i co oni spełnili?

Rozświetlenie pierwszej z tych kwestyj, to jest wyjaśnienie w sprawie jej strony przedmiotowej, stosownie do przyjętego przez obronę planu, przeważnie moim będzie obowiązkiem.

Dlatego, zanim stanąłem tu przed Wami, postarałem się w miarę możliwości wniknąć w duchową sferę podsądnych, zapoznałem się ze stopniem i rodzajem ich umysłowego rozwoju, wsłuchałem się w ich wierzenia, podania, pragnąłem odczuć tętno ich żywota, poznać to wszystko, z czego tworzy się charakter danej grupy, a co za tem idzie, i pojedynczych osobistości. Boć o tem chyba wątpić nie będziemy, że osobistość człowieka nie jest dowolną grą przypadku, a przeciwnie znajdujemy w niej ściśle rezultat warunków otoczenia i przeżytej przeszłości.

Otóż to, o czem dowiedziałem się od podsądnych i ze sądowego śledztwa, sprawdziwszy w myśl procedury, na podstawie ogólnie dostępnych i powszechnie znanych źródeł, przynoszę Wam panowie sędziowie, jako pełnomocnik oskarżonych, jako tłumacz ich myśli i próśb, do Was zwróconych.

Któż tedy są ci nasi klienci? — mówił dalej adwokat Kamiński. — Czy to jaka kocująca, dzika horda,

groźna rozpasaniem obyczajów, dla obuzdania i poskromienia której w imię społecznego porządku niezbędnymi są surowe środki karności?

Nie, to naród spokojny, od wieków osiadły, naród zawsze wierny tronowi i szanujący prawo.

Miasteczko Kroże, jak świadczą archiwa, znane jest od 1253 r., a w rejestrach podatków i powinności składowanych zawsze bez oporu, nazwiska, jakie noszą ci oto ludzie, zapisane są już w 1528 r.

Znamiennym rysem ich życiowego obyczaju jest głęboka religijność i rezygnacja. Prawda, w dawne owe czasy, gdy teutoński zakon chciał im chrześcijańską wiarę zaszczepiać mieczem i postronkiem, oni mężną piersią dzielnie bronili świątyni swej bogini Medzoimy, tam na wysokiej górze za rzeką Krozętą; ale kiedy ochrzcił się ich własny monarcha, wtedy religię miłości i nadziei przyjęli Krożanie bez zamieszek, bez oporu, bez buntu.

I od tej pory religia ta zapaściła głębokie korzenie w całą istotę ich żywota. »Czem się zajmujecie?« — zapytywał prezydujący, sprawdzając generalia podsądnych. »Pracą i modlitwą« — odpowiedziała jedna z kobiet. Tak, modlitwą i pracą zajmowali się ci ludzie. Do pracy niezbędną jest ziemia i oni kochają swoją żywicielkę, dla modlitwy niezbędną jest świątynia, więc i o jej byt troszczyć się gorliwie.

Ale świątynia ta, kościółek parafialny, drewniana, mchem porośła budowla, rychłym grozi upadkiem, a obok niej stoi wspaniały, murowany gmach, kościół, jaki pozostał po zniesionym klasztorze. Cóż może być prostszego — myślą sobie Krożanie — jak zamienić ten kościół na parafialny. — Ja, rzecz naturalna — nie będę tu szeroko opowiadał, dla jakich to architektonicznych względów i obliczeń i w imię jakich rzeczywistych motywów miejscowa administracja nie przedstawiła tego projektu na najwyższe zatwierdzenie, ale w każdym ra-

zie stać będę tak, jak stać powinienem, na punkcie, z którego patrzeli podsądni. Jeśli świadek Wichman, człowiek wykształcony i doświadczony, sądzi, że reparacja klasztornego kościoła dałaby się skuteczniej za kilkaset rubli, toć przecie mogli bez grzechu tak samo sądzić krożańscy parafianie. I dlatego to, zdawało się im, że jeśli będą prosić i prosić, błagać i błagać, to nareszcie ów kościół nie będzie im wydarty.

I nadto raczcie zwrócić uwagę pp. sędziowie, że owo, jeśli tak rzec można, pomocnicze znaczenie klasztornego kościoła leży w miejscowych tradycjach. Krożanom nie szczęściło się jakoś z parafialnym kościołem. Między nimi krąży podanie, że on często palić się musi.

I rzeczywiście wypadek taki miał miejsce trzy razy. Pierwszy kościół parafialny, wzniesiony przez Władysława Jagiełłę i Witolda w 1416 zgorzał w 1475 r. Odbudowany przez ks. Giedrojcia w 1495, pali się znowu w 1638 r., ale jak powiedziałem wyżej, jest to kościółek drewniany i po 150 latach istnienia, zaczyna się rozpadać. Konstatujemy więc, że kościół parafialny palił się trzy razy. Zachodzi pytanie: gdzież modlili się krożańscy parafianie wtedy, gdy po każdym pożarze nie było parafialnego kościoła przez 5, 8, a nawet 20 lat z górą? Rzecz naturalna, modlili się w klasztorze. A mieli oni prześławny kościół klasztorny z obrazami pędzla jakoby Leonarda da Vinci, z amboną brukselskiej roboty, a przy tym pomniku zachodniej cywilizacji było coś więcej jeszcze, było akademickie gimnazjum, założone w 1613 r. Ale nie o tem chcę mówić w tej chwili. Tuż obok od 1641 r. istniał kościół, będący smutną areną obecnej sprawy, przy byłym klasztorze PP. Benedyktynek.

Otóż każdym razem, kiedy po pożarze odbudowywano kościół parafialny, Krożanie modlili się w klasztorze. Tam śpiewali *requiem* nad prochami swych oj-

ców, tam w grubych kamiennych ścianach świątyni widnieją dotąd pamiątkowe tablice z ich imionami. — Zrozumiemy teraz, dlaczego obecnie, gdy parafialny kościół znów grozi upadkiem, a klasztor został zamknięty, krożańscy parafianie tak silnie i tak gorączkowo starają się i błagają o pozostawienie służby bożej w klasztornym kościele.

Biednym mieszkańcom zaścianka nieznane są formy i porządki kancelaryjnej procedury, o teorii uprawnienia się postanowień nie słyszeli, a wreszcie przecież się nie mylą, silnie wierząc, że władza najwyższa może w każdym czasie zmienić wszelkie postanowienia. Więc proszą, błagają, modlą się i mają nadzieję. Tak, mają nadzieję. »Dlaczego ją mają?« zapyta nas prokuratora, »przecież im odmówiono i zawiadomiono w odmowie.« A oto dlaczego... Dlatego, że ci ludzie nie myślą naszym mózgiem. Każdy człowiek i każda oddzielna grupa ludzi ma swoją psychologię, swoje widnokreśli przygotowane i urobione z dziada, pradziada, przekazane z ojca na syna. Tak jest niewątpliwie, a między innymi elementami, jakie wywarły wpływ na sposób myślenia Krożan, niech mi wolno będzie wskazać na jeden, mojem zdaniem, niezmiernie ważny. — Jak widzimy, są to ludzie prości, chociaż nie przeczę, z pewnem umysłowem rozwinięciem, z pewnymi cechami kultury. Przypatrzmy się wszelako, jakiego to rodzaju kultura, co to za oświata i jakimi drogami zdobyta? Ich zajęcia, o których tu słyszeliśmy, należą do najprostszych. Od najdawniejszych czasów ci ludzie nie robią nic innego, jak tylko orzą, sieją, miadłą len, drwarą. Zajęcia jak najprostsze, bez komplikacji, więc i praktycznej, bardziej wyrafinowanej mądrości nie dają. Ci ludzie nawet handlem się nie zajmują, nie chodzą na zarobki przemysłowe. Oświata wszelako wciska się i do nich, ale zupełnie innem, zupełnie odmiennem korytem.

Wspomniałem już wyżej, że w miasteczku Krożach od r. 1613 było gimnazjum. Zreformowane w 1797 r., istniało ono aż do 1842 r. Mówcie, co chcecie, a istnienie szkoły toż zawsze dodatnio oddziaływa na ludność danej miejscowości. Prawda, krożańscy mieszczenie, z małym wyjątkiem, do tego gimnazjum nie uczęszczali, pisanych tam, szeroko znanych uczoneму światu, łacińskich wierszy Sarbiewskiego nie czytali; wszelako oni, a nie kto inny posługiwali uczonym profesorom, utrzymywali na stancyi studentów, pozostawali z nimi w ciągłych stosunkach, obcowali, gawędzili z nimi, wsłuchiwali się w ich dysputy — i w tej oto drodze zgarniali pożywne okruczki z bogatego stołu mądrości. Pytam się jednak: jaka to była mądrość? Ani kościół, ani szkoła nie dają praktycznej wiedzy, a jedynie teoretyczną, oderwaną. To też owa właśnie teoretyczność i abstrakcyjność do dziś dnia charakteryzuje przeciętnego Krożanina. Jest on oświecony, piśmienny, rozgląda się w kalendarzu, zna daty, czyta nawet żywoty Świętych, ala rosyjski Jarosławski włościanin, ale polski Biłgorajski handlowiec-mieszczuch, o ileż razy jest od niego roztropniej-zszy i bardziej przemyślny pod względem praktycznym.

A nasz krożański obywatel w ciągu setek lat od tej szkolnej młodzieży, od przyszłych biskupów, przyszłych profesorów i poetów, nachwytał i przyswoił sobie pewną sumę idei bezwzględnych; o relatywnych, praktycznych kombinacjach niema zato najmniejszego pojęcia. Ot, książkowa to wiedza, coś w rodzaju scholastycznego katechizmu; jeśli cnota — to już doskonała i skończona — jeśli mądrość, to wszystkowiedząca, jeśli sprawiedliwość, to dla wszystkich równa i nad wszystkim górująca. Na takim gruncie pojęć biedny Krożanin w ubogiej skarbnicy swych tez logicznych znalazł taką oto posłankę; Bóg nakazał szanować cesarza i ule-

gać jego władzy, cesarz niewątpliwie pragnie, żebyśmy się modlili do Boga, do modlitwy niezbędnym jest kościół, a więc my dostaniemy ten kościół od cesarza. Nie wszyscy chcą nam w tej mierze dopomódz, ale to nic nie znaczy, bo choćby nawet ksiądz, prawda, on odprawia nabożeństwo, lecz budynkiem kościelnym nie rozporządza, albowiem kościół, jak każdemu wiadomo, jest gmachem publicznym, a gmach publiczny podług mniemania podsądnych, albo jest własnością ich, to jest gminy, albo należy do cesarza, czyli do państwa, ale w żadnym razie ani do księdza, ani do gubernatora, ani do kogokolwiekbądź innego. Tak rozmawiali Krożanie i temi ich poglądami objaśnia się zajście z księdzem Możejką, zajście, z powodu którego 5 osób z liczby moich klientów zasiada dziś na ławie oskarżonych.

Jak mamy oceniać cały ten wypadek?

Nie mówię tu wcale o prawnej kwalifikacyi, ale wprost o samym fakcie, o ile takowy został wyjaśniony, a raczej powiedzmy właściwiej, o ile nie został wyjaśniony, przez śledztwo sądowe. W samej rzeczy, co się tyczy owego zajścia w dniu 6 października, tam jest coś niejasnego, niekompletnego. Wymieniają nam i wskazują pewną liczbę osób, przeważnie kobiet, ale ich nie wymienia i nie wskazuje sam X. Możejko. Nawet urzędnik Jeraszew, który utrzymuje, iż te osoby były i obelżyły go w klasztornym korytarzu, nie twierdzi bynajmniej, aby widział ich zachowanie się w stosunku do X. Możejki, choćby dlatego, że przybył na miejsce wypadku już po zakończeniu głównej akcji. Zostaje się więc tylko jeden świadek, Elias, który na śledztwie pierwsiastkowem wymienił Kłopotowskich, Nowicką, Jasiewiczową, Scholastykę Zajewską, jej córkę, Teodorę i Franciszkę Jurewicz, ale jeśli raz weźmiemy pod uwagę, że świadek ten tu przed sądem zastrzegł się jednym maleńkiem słówkiem »zdaje się«, a nadto przyznał, że

Teodory, o której wpierw wspominał, wcale tam nie było, nakoniec, jeśli przypomnimy sobie, że zeznanie tegoż Eliasza odnośnie do niektórych osób upadło skutkiem stanowczo sprawdzonego *alibi*, to i w odniesieniu do innych osób, zeznania, o jakiej mowa, nie możemy uznać za dość poważne i przekonujące.

Powyżej podkreśliłem, t. j. starałem się uwidocznic wobec Izby zasadniczą różnicę w dwóch zeznaniach Eliasza. Podług ogólnej swej metody p. prokurator powie nam zapewne, że to teraz skutkiem upływu czasu Eliaszowi »zdaje się,« ale w epoce śledztwa pierwiastkowego, wkrótce po wypadkach, dobrze on pamiętał to, o czym mówił.

Nie pp. sędziowie, przecież to człowiek miejscowy, twarze sąsiadów swoich zna dobrze, w ciągu roku niejednokrotnie myślał i mówił o tem, co się stało, ma te wypadki ciągle w żywej pamięci, z tego więc wynika, że gdyby w danej chwili dokładnie zaobserwował osoby i był gruntownie przeświadczony o ich znajdowaniu się w miejscu określonym, to i obecnie wiedziałby o tem równie dobrze i poświadczyłby bez zastrzeżeń i bez wątpliwości. Innemi słowy, że jeśli teraz mówi »zdaje się,« to i wtedy tylko mu się zdawało i on tak powiedział, ale niestety, tego wyrazu nie zapisał.

Powyższa okoliczność — mówił dalej p. Kamiński — zmusza mnie do nawiasowego wypowiedzenia kilku ogólnych uwag o protokołach pierwiastkowego śledztwa, na które pozwolono nam powoływać się tutaj. Przy każdym zestawieniu dwóch zeznań, głównego (sądowego) i pierwiastkowego (śledczego), przy każdej ujawnionej między niemi kontradycyi, przedstawiciel oskarżenia uważał zeznanie, czytane z protokołu, za coś niezachwianego, a w każdym razie za rzecz niewątpliwie, literalnie, dosłownie zapisaną. Nie mogę się na to zgodzić, a nie mówiąc już o tem, że wiele zeznań skła-

dano przy pomocy tłumacza, że zapisywane były pośpiesznie, na gwałt, w najniegodniejszych warunkach, chcę tutaj wskazać na oddzielne wypadki, gdzie nie-literałość, brak dosłowności, rzuca się w oczy. Biorę przykład. W zeznaniu X. Możejki zapisano: »obawiając się, żeby osoby te nie rozlały św. Sakramentów« i t. d. A tymczasem X. Możejko nie mógł tego powiedzieć, choćby dlatego, że podług łacińskiego obrządku wino używa się tylko przy Mszy św., a najsw. Sakrament, przechowywany w puszcze dla św. Komunii, jest tylko w jednej postaci, w postaci chleba. Więc jasne jest, że ksiądz mógł powiedzieć tylko: »obawiając się, aby nie rozsypali, lub nie rozrzucili«, a nigdy nie mógł mówić o rozlaniu.

Okoliczność ta, naturalnie, niema żadnego wpływu na istotę czynu, ale skoro raz przekonaliśmy się, że subiektywne wrażenie i sposób pojmowania sędziego śledczego odbija się w tekście protokołu, toż nie przyjdzie nam ochota do kruszenia kopii za wrzekomą dosłowność i literalną ścisłość owych śledczych opracowań. Dlatego to i opuszczenie wyrazu: »zdaje się« w zeznaniu Eliasza, jest więcej niż prawdopodobnem i niema żadnej kontradycyi, jeśli świadek ten nie decyduje się obecnie poświadczyć, kto mianowicie był w danej chwili na korytarzu przy zetknięciu się z X. Możejką. A jeśli tak — inaczej zaś być nie może — to udział moich klientów w owym zetknięciu nie jest dowiedzionym.

Powiedziałem w »zetknięciu« (w oryginale rosyjskim: *stołknowienje*) i nie cofam tego wyrazu, nie umiem znaleźć stosowniejszego.

Bo tam coś było, ale coś dziwnie niejasnego, nie-dopowiedzianego, w każdym razie coś wcale niezwiązanego z czynnem wystąpieniem przeciw władzy. X. Możejko niewątpliwie zupełnie w dobrej wierze zeznaje, że zachowanie się tłumu przeszkodziło mu wynieść pu-

szkę z najśw. Sakramentem; ale to zachowanie się po-
dług tego, jak je znamy ze śledztwa, pozbawione jest
poprostu wszelkiego sensu. »Związano mu ręcznikami
nogi, a podług świadectwa Eliasza, i ręce, żądając, aby
odniósł puszkę z powrotem.« Jakże można było żądać
odniesienia, jeśli ten, komu kazano odnieść, miał skre-
powane ręce i nogi. Czy nie należy tutaj przypuścić—
i mam nadzieję, iż panowie podzielicie moje przypusz-
czenie, że całe owo związanie było jedynie czysto
symboliczną formą, a bynajmniej nie gwałtem fizycznym.

Nie wątpię, że X. Możejko miał szczerą intencję
spełnić polecenie swej władzy, ale w decydującej chwili,
kiedy zauważył silną, chociaż zupełnie biernie wyrażoną
niechęć ze strony parafian, czy starczyło mu, nie powiem
fizycznej, bo o tej niema mowy, ale czy starczyło mu
siły ducha do pójścia w poprzek owej niechęci? Za-
brakło mu jej niechybnie. On jest księdzem — to pra-
wda — więc winien posłuszeństwo, ale on także oby-
watel krożańskiej ziemi, syn tejże parafii! Jak tu między
świadkami i na ławie oskarżonych powtarza się jego
nazwisko, tak i tam w tym tłumie — to nie obcy ja-
cyś ludzie, to jego bracia, jego krewni i powinowaci!
W danej chwili błyska mu myśl: »a może to oni mają
rację, a może, jeśli sprawa się przewlecze, kto wie,
może i nadejdzie najwyższe zezwolenie — Panie udziel
Swej Boskiej rady i ocal grzesznika.« I oto pod wpły-
wem tych wątpliwości, stawia najświętszy Sakrament
na ziemi, pod ścianą, na miejscu bezpiecznym, z wszelką
ostrożnością, a więc i swobodą ruchów, a sam, jeśli tak
powiedzieć można, oddaje się dobrowolnie w ręce oporu.
Między nim a tłumem nie było słów, nie było nawet jasno
sformułowanej myśli, ale instynktowo zrozumiano się wz-
ajemnie. »Tobie ojcie duchowny potrzebny jest opór dla wy-
tłómaczenia się przed władzą, no to i masz zewnętrzne

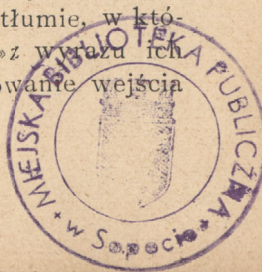
cechy oporu — odejść tylko w pokoju!« A on ze swej
strony tak myśli: »opór chyba był, czyż zobowiązany
jestem walczyć siłą, narażając przy tem bezpieczeństwo
najśw. Sakramentu? Ja swoje zrobiłem — Bóg z nimi.«
Bonus pastor animam suam deponit pro ovibus, dlacze-
goż nie miałby im zrobić pewnego ustępstwa? No —
i wyszedł w pokoju. Powiadają nam wprawdzie z pro-
kuratorskiej katedry, że wyszedł bez czapki i paltota,
ale czyż święte obrzędy odprawiają się w czapce i pal-
tocie? Pokazują nam potarganą komeżkę, ale jak tu
dziś sprawdzić, kto ją poszarpał i kiedy?

Puszka z najświętszym Sakramentem odniesiona
na ołtarz, odniesiona z poszanowaniem, przy jarzących
świecach kościelnych, odniesiona przez mojego klienta
Szarowskiego i to nie gołemi rękami, ale przy użyciu
kościelnego ręcznika, jak i należało. Szarowski przy-
znaje się do tego, ale ten jego czyn nie jest ani prze-
stępstwem, ani grzechem. Przeciwnie, tak powinien był
postąpić każdy roztropny chrześcjanin w podobnych
okolicznościach.

Oto i cała historia z 6 października.

Pytam się, jestże tu choćby najdrobniejszy element
do utworzenia istoty czynu przestępnego w jakimkol-
wiek rodzaju, nie mówiąc już o oporze w znaczeniu
art. 263—266 kodeksu karnego?

Czyny Kłopotowskiego i Szarowskiego, spełnione
w d. 8 października, będą bliżej rozpatrzone i ocenione
w łącznej obronie innych współoskarżonych przy rozpa-
trywaniu obiektywnej strony sprawy przez moich kole-
gów; co do mnie, nie wyczerpując kwestyi, nie mogę
jednak niezauważyć, że prośba o odroczenie wykonania
nie jest oporem. »Żadnych gościów, mogących znamio-
nować groźbę« nie zauważył isprawnik w tłumie, w któ-
rym znajdowali się moi klienci, tylko »z wyrazu ich
twarzy« przyszedł do wniosku, »że usiłowanie wejścia



do kościoła wywołałoby prawdziwy opór». Nie będę przesądzał, na ile »wyraz twarzy« może być dostateczną przyczyną do przedsięwzięcia środków, zapobiegających przestępstwu, ale to pewna, że w żadnym razie nie jest jeszcze przestępstwem.

Mamże mówić o współudziale, który zdaniem oskarżenia, wyraził się w dostarczaniu jedzenia przyszłym przestępcom. Od tragedyi do farsy krok tylko jeden. Przecież wszyscy zbrodniarze do czasu spełnienia przestępstwa i do chwili zaareztowania, mają zwyczaj jadać, a o ile sami sobie jeść nie gotują, otrzymują pokarmy z rąk osób trzecich.

Nierównie cięższe zarzuty zawarte są w trzecim punkcie oskarżenia, gdzie między innymi figurują i moi klienci: Szarowski, Czapowski, Mochus i Wiktorya Biełogłłowajtys. Tu mówi się już wyraźnie o zbrojnym, rozmyślnie przygotowanym oporze z celem niedopuszczenia i t. d.

Następni obrońcy wykażą niewątpliwie wszystkie niedobory i całą wadliwość podobnej kwalifikacji czynu; na mnie, stosownie do porządku, przyjętego w naszych głosach, spoczywa obowiązek uprzytomnienia, jaki to nastrój panował wśród tłumu w ową pamiętną noc z 9 na 10 listopada, do jakiego stopnia rozdrażnienia doprowadzono tych ludzi w danych warunkach.

Przypominacie sobie pp. sędziowie tę chwilę, kiedy nocą, o 3 godzinie, urzędnicy, żandarmi, uraadnicy stanęli w ordynku pod murami kościoła. Zaczęło się niby od prostej wymiany zdań, potem były polecenia i rozkazy, to znowu groźby i obelki, a nareszcie odebrano ludowi jedyne narzędzia jego opozycji: Chrystusa rozpiętego na krzyżu i wizerunki głowy państwa. Naród zmieszany i chwilowo przerażony, jakkolwiek zapewne z niewielką ochotą, ale począł wychodzić z kościoła. Wtedy to nagle, niespodzianie, niewiadomo z jakiej przy-

czyny, pochodowi temu uraadnicy z polecenia swej władzy poczęli pomagać... nahajkami.

Sędziowie! kiedy przed 18 z górą wiekami z powodu analogicznej sprawy chciano batożyć św. Pawła, to jedno słowo: *Caesarem appello!* powstrzymało knut i przerwało procedurę samowoli. Krożańscy obywatele mają także swojego cezara i oni apelowali do jego władzy. Niestety, miejscowi wielkorządcy nie naśladowali rzymskiego prokonsula — i wzięto się do nahajek. Batożono około parkanu, batożono na cmentarzu i w kościele, gdzie kobiety modliły się jeszcze na stopniach ołtarza.

I kogóż to ćwiczano nahajkami? Żony, siostry, córki, matki, najdroższe sercu istoty. I gdzie? W kościele. Co to jest kościół? Dom modlitwy? Dla wielu wyznań tak zapewne, ale dla nas katolików, tak, jak dla prawosławnych, dla nas wierzących w tajemnice ołtarza, świątynia Pańska, kościół, to nietylko dom modlitwy, to święta arka, gdzie Pan zastępów w widocznej przebywa postaci, tam najświętszy Sakrament, tam żywa, prawdziwa Krew, żywe, prawdziwe Ciało Zbawiciela naszego! Prostacczowie nie znają kanonicznego prawa, traktatu o profanacji świątyni *de effusione sanguinis ex vulnere iniuriose illato* zapewne nie czytali, ale bądź co bądź wiedzą oni i silnie wierzą, że w kościele smagać batożeniem i krwi przelewać nie wolno! Oto przyczyna wszystkiego, co potem nastąpiło, wszystkiego, za co ci ludzie dziś stoją przed waszym sądem. Dodajcie do tego całe tło dramatu: noc, krzyk, zgrzyt, świst kul, płacz, krew — istne piekło! Na tem tle nietylko rozdrażnienie, ale krańcowa wściekłość tłumu usprawiedliwia się i tłumaczy!

Wy, panowie sędziowie, ani na chwilę nie wypuście z pamięci tego strasznego obrazu przy ocenianiu czynów ludzkich, które sądzić macie.

Nie będę mówił o artykułach. Jest ich wiele i w kodeksie i w ustawie, a jeśli ich jeszcze mało, to w każdym

razie między niemi błyszczy jeden jak gwiazda nadziei i zbawienia — to artykuł 775. Wy go znajdziecie.

Skończyłem. Ale duch sprawy i święty obowiązek wiernego wypowiedzenia najgłębszych intencji moich klientów — gdy już wniosłem za nimi błaganie do władz tego świata — nakazuje mi jeszcze zwrócić się i do wyższej Siły:

„Panno święta, co jasnej bronisz Częstochowy

„I w Ostrej świecisz bramie, Ty co gród zamkowy

„Nowogrodzki ochraniasz z jego wiernym ludem*)“

Ich duszę ugniecioną pokrzep wiary cudem.

Przewodniczący: Panie adwokacie, czy nie zechciałbyś pan przerwać modlitwy. Sąd sędzi na podstawie prawa.

Adwokat Kamiński: Tak, sąd sędzi na podstawie prawa, wszelako z Bożą pomocą. — Skończyłem.

Po obronie adwokata J. M. Kamińskiego zabrał z kolei głos S. A. Andrejewskij. Oto jego słowa:

Panowie sędziowie i przedstawiciele stanów!

I dziwnie i trudno mi jest bronić tych podsądnych, o bunt oskarżonych, a to dlatego, że nigdzie nie zdarzyło mi się spotkać ludzi tak fanatycznie wiernopodanych, tak religijnie oddanych swemu władcy, jak cała ta żmudzka gromada. I nigdzie jeszcze, w żadnej nie widziano historyi, ba, czy mógł kto nawet wyobrazić sobie, ażeby, gdziekolwiekbaż na świecie, buntujący się, przy zetknięciu z władzą wykonawczą, osłaniali prawa swoje za pomocą portretu monarchy, portretu, ustrojonego wieńcem kwiatów i jak cudowny obraz unoszonego nad głowami tłumu. Nawet gubernator za-

*) Wiersz był przytoczony w rosyjskim przekładzie A. Berga, znanego tłumacza *Pana Tadeusza*.

wahał się przed tym rodzajem obrony. Kazał on trzymającym portrety opuścić ręce, następnie rozkazał policyi odebrać wizerunki, ale widząc, że wszyscy inni ku nim się posunęli i silniej jeszcze trzymać je zaczęli, kazał pozostawić je nietykalnymi. — Cóż to znaczy? Nie znaczyż to czasem, że ta sama siła, w imię której gubernator zjawiał się, aby zdławić mniemany bunt, ta sama siła, t.j. spotkane przez niego na portretach osoby Najjaśniejszych państwa — przygniotły jego samego, jego energię i mimowiednie chroniły tłum zebrany. Widzimy, że obiedwie strony trzymały się jednej i tej samej władzy, w których wyraża się — siła państwowa. Cóż to za bunt? Nie! tu nie było rokoszu, a tylko bardzo głębokie nieporozumienie między narodem i miejscowymi władzami. Jako centrum tej sprawy stoi cesarska wola i zastanowić się należy, jak obie strony zapatrywały się na takową.

(Odniosłszy się do najwyżej zatwierdzonego jeszcze w dniu 1 kwietnia 1862 r. postanowienia zachodniego komitetu o zamknięciu klasztorów, w których znajduje się mniej niż ośmiu zakonników, obrońca wyjaśnił, że ów najwyższy rozkaz o zamknięciu krożańskiego klasztoru był wydany przez cesarza zupełnie formalnie, przyczem jednak cesarz nie przewidział niczyich cierpień przy wprowadzeniu tej tradycyjnej ustawy, mającej za sobą już trzydziestoletnie przedawnienie. Wskazawszy następnie na niezmiernie kłopoty Krożan z chwilą zamknięcia murowanego, klasztornego kościoła i na ich życzenia, obrońca mówił dalej): Czyż może być coś logiczniejszego, skromniejszego, więcej podatnego do spełnienia nad tę prośbę! Trudno zrozumieć, dlaczego nie można jej było przedstawić do wiadomości Najjaśniejszego pana? Wznowione w ostatnich czasach dyplomatyczne stosunki z rzymską Kuryą dowodzą zupełnie jasno, że polityka naszego monarchy odznacza się



w tej kwestyi prawdziwie pokojowem usposobieniem i tolerancją. Nie można sobie nawet wyobrazić, aby cesarz miał nie pozwolić na zostawienie Krożanom kościoła, w szczególności gdyby cierpienia ludu, z tego powodu powstałe, były przedstawione Najjaśniejszemu panu we właściwym świetle. Ale sprawa nie poszła tą naturalną drogą i wzięła zupełnie inny obrót, prowadząc nieuniknionym krokiem do krożańskiej katastrofy. Ażeby zrozumieć taki rezultat, trzeba się zapytać: Czy najwyższy rozkaz o zamknięciu krożańskiego klasztoru był takiej doniosłości, że należało go spełnić szybko i nie odkładając, nie rachując się z żadnymi miejscowymi warunkami? Czy był naznaczony jaki termin? — Nic podobnego nie miało miejsca.

(Obrońca dowiódł następnie, że administracya odwlokła wykonanie najwyższego ukazu z d. 12 grudnia 1891 r. przez całe dwa lata i że najwyższy ukaz z dnia 10 czerwca 1893 r., następstwem którego było popełnione przelanie krwi, do tej pory nie został wykonany, bo w tym ostatnim ukazie było polecenie zburzenia gmachu kościelnego, w przekonaniu, że względnie do pierwszego ukazu, wydanego dwa lata temu, kościół jest już zamknięty, gdy tymczasem stoi on dotąd cały i nienaruszony).

Dlaczegóż, pytamy się, nie można było odroczyć jeszcze wykonania przez dwa, trzy miesiące, jak o to błagali Krożanie, choćby do tej chwili, kiedy otrzymanoby jakąkolwiek odpowiedź na ich najpoddanniejszą prośbę? No, ale prośby, podane do generał-gubernatora, pozostały bez skutku, »bez wyjaśnienia przyczyn«, a te, które zostały zwrócone do monarchy, niewątpliwie niezaopatrzone jakimkolwiek przychylnymi uwagami ze strony miejscowej władzy, przepadły wszystkie w ministerstwie spraw wewnętrznych, nie dostąpiwszy zašczytu być przedstawionemi Najjaśniejszemu panu.

Tak postąpiła administracya. Zwróćmy się teraz do narodu.

Każdy z tych licznych podsądnych posiada w swej duszy niewzruszony talizman przeciw najsurowszym nawet sądowym wystąpieniom — tym talizmanem jest żywa, straszliwa wiara w Boga. Wiara ta jest im droższą nad życie. Takiej wiary nigdzie więcej nie znajdziesz na ziemi. To nie modna chrześcijańska religia Leona Tolstoja, religia, prawda, ludzka, dobroduszna, sympatyczna dla każdego rozwiniętego człowieka, ale w rzeczywistości — chłodna i rozsądna religia, z którą oprócz strojenia się w bluzę z pasem, a komicznego chodzenia za pługiem, daleko nie zajdziesz. Nie, to żywa wiara w żywego Boga — tego Chrystusa, który wszystko słyszy, co się dzieje w sercu ludzkim, który dlatego zstępuje do świątyni z wysokości niebios, wciela się w Najświętszy Sakrament i uspokaja wszystkie nędze ludzkie, że sam jest Bogiem-Człowiekiem! Podsądni, jak dzieci, w takiego właśnie wierzyli Boga-Prawodawcę, Sędziego i Nauczyciela. Ich uczono, że Bóg postawił nad nimi władcę, i oni wierzyli, że ten władca myśli jednakowo z ich Bogiem. Uważając Boga nie jako urojenie, ale żywą istotę, byli bezwarunkowo przekonani, że on z taką samą jak oni miłością stara się o zachowanie dla nich takiej świątyni, gdzieby oni przez długie jeszcze lata mogli wznosić ku niemu swe modły. Gdy wtem taką świątynię unicestwiają! Czy serca ich nad tem cierpieć nie miały? Czy to serce mogło nie słyszeć Bożego wezwania: Dzieci moje! kto we mnie wierzy, ten uratuje świątynię moją — dla mnie!! Nie ulega wątpliwości, że tych wezwań z wysokości podsądni nie mogą wyrazić żadnymi wyrazami i my nie możemy przedstawić sądowi świadków, mogących potwierdzić to wezwanie. Ale każdy wierzący niewątpliwie musiał doświadczać tego na sobie, w głębi swojej duszy. I tak

Krożanie, przekonawszy się o prawdziwym niebezpieczeństwie grożącym ich kościołowi, udali się z prośbami do wszystkich władz — od bliższej do wyższej. Ustanowili z pośród siebie religijną straż, dniem i nocą strzegącą świętości ich kościoła, aż do otrzymania cesarskiej odpowiedzi.

Zetknięcie się z X. Możejką w żadnym razie nie może być dowodem usposobienia tłumu w stosunku do rządu; ksiądz, według pojęcia podsądnych, powinien był cierpieć również jak i oni, on stanowił z nimi całość; to wewnętrzna, rodzinna rozprawa trzody z pastierzem, nie mająca nic wspólnego z władzą świecką. I w czymże to oni objawili swój buntowniczy opór przeciw ziemskiej władzy? Strzeżenie kościoła przez lud było wyrażone w takiej formie, że ani jeden człowiek zdolny pojąć, co to jest ludzka masa, i umiejący oddziaływać na nią odpowiednimi środkami, żaden z tych ludzi nie mógłby obawiać się ujawnienia siły fizycznej tego tłumu. Ludzie ci bezprzestannie odprawiali w świątyni chrześcijańskie nabożeństwo. Żalili się niebu ze swoich cierpień i wierzyli w miłosierdzie swego cesarza. Oni uważali siebie być duchowo niedostępnymi, co w ich przekonaniu było daleko ważniejszym od wszelkiego uzbrojenia. I rzeczywiście byli oni zupełnie bezbronni. Oni zdawali się mówić każdemu, ktoby ich napadł w świątyni: »bierzcie, wygnajcie nas, jeśli starczy wam na to odwagi i sumienia, dobrowolnie jednak nie pójdziemy — dopokąd nie otrzymamy odpowiedzi od cesarza. A jak otrzymamy — rozejdziemy się pokornie«. A więc gubernatorowi pozostawało zastanowić się, co trzeba zrobić z tym tłumem? Jak na niego podziałać? Isprawnik nie mógł się zdecydować na żaden stanowczy środek — dlaczego? Czyż i on nie miał możliwości uciec się do siły wojennej? Czy też może jego ranga za mała? Czy nie było tu czasem innej przeszkody, czegoś, ku

czemu nawet najśmielszemu administratorowi sięgnąć nie stanie odwagi: tej niewidzialnie unoszącej się nad tłumem podwójnej zasłony — Boskiej i cesarskiej?

Jeszcze na miesiąc przed przyjazdem gubernatora do Kroż dowiedział się on o takim stanie rzeczy. Gubernatorowi raportowali: tłum nie rozejdzie się dobrowolnie, dopokąd nie dostanie odpowiedzi na swą najpoddaną prośbę. Pan Klingenberg przyjął do wiadomości tylko pierwszą część zdania: nie rozejdzie się dobrowolnie. I postarał się o fizyczną siłę, aby złamać opór. A dlaczegoż to nie można było zająć się drugą częścią doniesień. Trzeba było przynajmniej zebrać dowody, czy proszący otrzymali piśmienne odpowiedzi na to, czy sprawa ich doszła do cesarza. Zapytywaliśmy o to p. Klingenberga i okazało się, że on wcale nie troszczył się o wyjaśnienie tej kwestyi przed wyjazdem do Kroż. A tymczasem on tam powiedział, że wszystkie prośby są nieuważnione, dowiedliśmy jednak tutaj, że tak nie było: aż do dnia katastrofy wiele prośb nie było wcale rozpatrywanych nawet w ministerjum, a ani jedna z nich nie doszła do rąk monarchy.

Oprócz tego p. Klingenberg oświadczył ludowi rzecz niezgodną z naszymi prawami, mianowicie, że jeżeli gubernator oznajmia wolę monarszą, to naród powinien mu wierzyć. Wcale nie tak. Ustnie oznajmiana bywa wola monarsza jedynie tylko ministrom i to w bardzo wyjątkowych wypadkach; ale nigdy gubernatorom. Najwyższe ukazy ogłaszane są bezwarunkowo drukiem lub piśmiennie. Nie mówię tu już o politycznej mądrości, o konieczności rachowania się z niezwykle warunkami danej chwili. Przecież gubernator powinien był stanąć twarzą w twarz z ludźmi, którzy prawie bezprzestannie cały miesiąc pozostawali w świątyni na modlitwie, nie przestając śpiewać hymnów przy jarzących się świecach. Niewątpliwie, znajdowali się oni

w tej fazie ekstazy, kiedy ziemia znika z przed oczu, gdy przed ludźmi unosi się tylko tron Boży w Jego niedoścignionej wspaniałości, i gdzie nie nahajki i pistolety uradników, ale coś więcej odpowiedniego uroczystemu nastrojowi modlących się, coś równie olśniewającego i wielkiego, jak ich religia, mogłoby jedynie przyprowadzić ich do przytomności i ukorzyć przed koniecznością. O tak naiwnem usposobieniu tłumu mówi nam życzenie widzenia na osobie gubernatora choćby medali albo orderów, jakichkolwiek bądź zewnętrznych oznak cesarskiego posła. W każdym razie odpowiedzi piśmienne na podane prośby były urzędowo niezbędnymi.

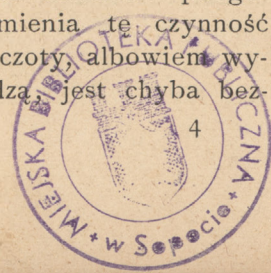
Zdaje mi się, że w tak krytycznem położeniu rzeczy żaden najwyższy nawet urzędnik nie miałby prawa odpowiadać na pytanie narodu bez względu na panującego; tu rzecz szła o religią, tu był poruszony Bóg, który rozkazuje być posłusznym cesarzowi; imię Boga jest sankcją samowładztwa i wiernopoddania i dlatego tylko pomazaniec Boży może być jedynym sędzią w sprawach religii. Gubernator trzymał się innego zdania. On był panem położenia, a naród, z którym się porozumiewał, był — prostaczym. Gdyby w tej masie znalazł się był prawnik, mógłby on grzecznie i spokojnie zwrócić się do p. Klingenberga z takim wezwaniem: »Jaśnie wielmożny panie, pozwól nam wypowiedzieć naszą prośbę — Pan raczysz wykonywać najwyższy ukaz z d. 12 grudnia 1891 r., a przecież od tej pory upłynęło już dwa lata; chciej pan poczekać choć trochę, póki my nie otrzymamy najwyższej rezolucyi na nasze prośby. Jeżeli pan zechce wykonać najwyższy ukaz z d. 10 czerwca t. r., to w nim znowu nakazano zburzyć kościół, a przecież tej nocy zrobić tego nie można. Tymczasem dowiedzieliśmy się z boku, że rozrzucone tych murów będzie kosztowało 25.000 rubli. O wydatkach

kasowych na tę robotę trzeba będzie rozpocząć korespondencyę. Pozwól nam, jaśnie wielmożny panie, módlić się aż do ukończenia owej korespondencyi, a tymczasem nadejdą odpowiedzi na nasze podania«. I nie wiem, czy p. Klingenberg ośmieliłby się rozpocząć uśmierzanie, wysłuchawszy takiej konsultacyi.

No, ale sprawa odbyła się prościej. Po wiadomej wam scenie z portretami, lud upokorzył się i zaczął opuszczać kościół. Chwilowego wahania się tłumu nie należy brać w rachubę. Trzeba zamknąć oczy na życie i nakręcać prawo do niepodobieństwa, ażeby w tym okresie niepewności, który rozdzielił obie strony, widzieć bunt przeciw zwierzchniej władzy. Gubernator oznajmił jeden najwyższy ukaz, a naród oczekiwał na drugi. Obiedwie strony z jednakowem przekonaniem uważały się za uprawnione do bronienia jednej i tej samej władzy. Po krótkim zamięszaniu wszystko ucichło w narodzie. Najwyższy ukaz przyjęty został przez włościan na wiarę, nie bacząc na zasadnicze podejrzenia ludu, że cesarz w rzeczywistości nie wie o niczem, co się tu dzieje; najwyższy ukaz został spełniony.

(Tu obrońca przekonywa, że zmiana w usposobieniu i zamiarach narodu zaszła wskutek niezasłużonego, niedającego się niczem objaśnić użycia nahajki).

Tego dowodzą objaśnienia gubernatora, naczelnika powiatu, oficera żandarmskiego Siemionowa i radcy rządu gubernialnego Kożyna. Ciekawem jest, jak mówi o tej chwili Kożyn! Tłum bardzo prędko przyszedł do rozsądku i zaczął wychodzić z kościoła; uradnicy, zsiadłszy z koni, podganiaли wychodzące kobiety i bili nahajkami po wierzchniej odzieży. »Bili nahajkami« dźwięczy bardzo silnie, a jednocześnie ten dodatek: »podganiaли po wierzchniej odzieży« zamienia tę czynność w szczególniejszy jakiś rodzaj pieszczoty albowiem wyganiać ludzi, którzy sami wychodzą, jest chyba bez-



użytecznem, a smaganie po sukniach wydaje się być czemś w rodzaju przyjemnego żartu.

Nie będąc się rozwodził nad wpływem nahajki na uczucia tych ludzi — o tem wystarczająco i dobitnie mówił mój poprzednik. W jego mowie słychać było krzyk serca: przecież to pobratymiec i współwyznawca pokrzywdzonych!

(Rozdzieliwszy następnie sprawę na dwa oddzielne okresy do »nahajki« i »po nahajce«, obrońca mówił dalej):

Do chwili użycia nahajki odbywało się tylko śpiewanie psalmów i cierpliwe, bogobojne wyczekiwanie monarszej woli; była chwilowa niewiara w odmowę, objawioną bez żadnych piśmiennych dowodów najwyższego wyroku, a następnie pełne goryczy upokorzenie po odrzuconem błaganu, choć błaganie to, jak wiemy, nie doszło do wysokości tronu: jednym słowem, ani buntu, ani powstania i wogóle żadnego wiadomego nam przestępstwa nie było. A »po nahajce« nastąpiło mimowolne zniechęcenie i rozpacz krożańskich mieszkańców wskutek tego przekonania, że stali się oni ofiarą niczem niezasłużonego gwałtu, przyszła bardzo naturalna chęć bronięcia się przeciw tej przemocy i zwrócenia napadających na drogę prawnego postępowania, ażeby mieć możność zapisania tego w rządowym protokole i następnie zaskarżyć wszystkie ich czyny. Nastąpił więc chaos, w którym bardzo trudno zorientować się z prawnego punktu widzenia. Moi towarzysze postarają się to uczynić.

(Oddzielnie obrońca zaznaczył co do swoich klientów, że trzech z nich tylko przekonanych jest o współudziale »do nahajki«, dwóch — »po nahajce«, a siedmiu ostatnich w niczem nie przyjmowali udziału. Z pierwszej kategorii podsądnych obrońca zastanawiał się dłużej nad Rymkusem i Jarulajtysem).

Rymkus posiada tak zwaną charakterystyczną powierzchowność, która w przestępstwach, popełnianych przez tłum, jest prawdziwem nieszczęściem, ponieważ taka powierzchowność sama już jest zgubnym dowodem współdziałania w tłumie — niezależnie jeszcze od pytania, czy jest winnym. Twarz ta mimowoli rzuca się w oczy, nie można pomieszać jej z innemi. Oprócz tego Rymkus ze swojemi obwisłemi wusami, suchym i cienkim nosem, ze swojemi zapadłemi, ciemnymi oczami pod nastraszonymi brwiami, nosi na swem licu wieczną maskę zuchwalstwa, maskę tego rodzaju, że o czemkolwiekby mówił, choćby wypowiadał jedynie najuprzejmniejsze rzeczy — będzie miał zawsze wygląd surowego protestu. Cała jego postać zdaje się być żywcem wyrwaną z obrazu Jana Matejki. Izba sądowa nie poczyta za winę Rymkusowi tej przyrodzonej charakterystyki. Nie trudno pojąć, że gubernator łatwiej aniżeli kogoś innego zauważyć mógł Rymkusa. I cóż takiego popełnił ten podsądny? Gubernator mówił, że w czasie jego wyjaśnień z tłumem Rymkus »z zuchwałym wyrazem twarzy« (innego wyrazu nienia on wcale) mówił coś tam po żmudzku podniesionym głosem (ależ on nie posiada innej intonacji). A tymczasem Rymkus mówił tylko to, co inni, to jest, że naród oczekuje cesarskiego wyroku. Następnie tenże Rymkus po opróżnieniu kościoła przepadł zupełnie i w najściu na kościół nie przyjmował żadnego udziału.

Winą Jarulajtysa jest to tylko, że trzymał krzyż przy spotkaniu z gubernatorem. W tej chwili aresztowano go w białej komeżce i w drodze do aresztu był pierwszym z tych ludzi, którego pokrwawiono uderzeniem nahajki, nie wiadomo za co... W swej kościelnej odzieży bielił się na tle tłumy, jak śnieg na sadzach. Nie mógł się ukryć. Samo nawet ubranie jego dowodzi, że nie poczuwał się do winy w niczem wobec rządu

i w każdej chwili gotów był oddać się w jego ręce. Sądzę, że na tych dowodach można poprzestać.

Zresztą należy się spodziewać, należy wierzyć w to, że zrozumienie rzeczy we wszystkich umysłach jest jednakowe. Wniknąwszy w akt oskarżenia pomyślałem sobie, że tak czytający, jak słuchający, a następnie sędzia — wszyscy, którzyby dobrze treść tej sprawy zrozumieli, muszą mimowoli odczuwać głębokie współczucie dla obwinionych.

Lecz — w akcie oskarżenia niema wszystkiego, coby w porównaniu z tem mogło pójść na ich korzyść.

Wszystkie nasze rozbiory śledcze stoją jak w mur wbite w przyjazd kozaków. Ale wy pp. sędziowie, mimo waszej chęci, wiecie o wszystkim, co potem nastąpiło. W procedurze kryminalnej jest artykuł, według którego wszystko, co podsądny przecierpiał do dnia sądu, liczy się już jako kara. Aby dościsnąć tej prawdy, której każdy od sądu oczekuje, będziecie obowiązani, z przyczyny wyjątkowych okoliczności, towarzyszących tej sprawie, podjąć też nadzwyczajne środki. I dlaczegoż to mianowicie? Przeczytajmy wielkie i spokojne wyrazy prawa:

»W nadzwyczajnych wypadkach, jeżeli wychodzą na jaw szczególne wskazania na okoliczności łagodzące w przestępstwie podsądnego, sąd może robić starania u Najj. pana przez ministra sprawiedliwości o ulgi co do kary w zakresie, przekraczającym władzę sądu, a nawet przedstawić do łaski monarszej (ułaskawienia) podsądnego, jeżeli ten był wciągniętym w przestępstwo nie-szczęsnym dla niego zbiegiem okoliczności«.

Tak... »nieszczęsnym dla niego zbiegiem okoliczności«; cała moja obrona na tem była oparta t. j. zbudowana na artykule 775 ust. sąd., który przeczytałem. Artykuł ten jest niezbędnym dla niniejszej sprawy już dlatego samego, że ona pod żadnym pozorem nie może

być nie przedstawioną cesarzowi, ona nie może pozostać w ukryciu.

Niechaj na koniec z głębi tego kraju sąd poniesie ponad głowami dygnitarzy do samego monarchy całą tę prawdę, jakieśmy się dobili co do wypadków kro-żańskich. Niechże na koniec ztąd będzie nam danem usłyszeć ostatnie słowo. Dajcież światła tym biednym ludziom! otwórzcież bramę, wpuście nią świeże powietrze! Wy macie klucze od tej bramy; nie bądźcie skąpymi, nie zaciskajcie ich w dłoni, dajcie, dajcie je, a wówczas obrona nie ustraszy się żadnego kodeksowego artykułu!

Następna mowa, którą wypowiedział adwokat W. J. Żukowski, trudną jest do reprodukcji w druku, trudną dlatego, że utalentowany mowca, zwłaszcza w drugiej części swej obrony, prócz słów, posługiwał się nie-możliwą do przeniesienia na papier oryginalną dykcją, punktowaniem domyslników i grą fizyognomii.

Pierwsza część mowy poświęconą była ustaleniu kodeksowych pojęć. Doskonały prawnik umiejętnie usuwał z istoty czynu wszelkie obciążające cechy, a mianowicie: zbrojny opór, uprzednią zmwę, wystąpienie przeciw woli monarszej i t. d.; wszelako najbardziej interesującymi dla ogółu słuchaczów były ustępy zawarte w nawiasowych wycieczkach, stanowiących jakby drugą współrzedną część obrony. Postaramy się przytoczyć, o ile można, dosłownie kilka takich ustępów.

»Kolega Kamiński — są słowa Żukowskiego — mówił wam o prawie kanonicznem rzymskiego Kościoła i jego orzeczeniach odnośnie do profanacyi. Nie wątpię ani na chwilę, że miał za sobą powagę wieków, ale ja mało znam rzymskie kanony; co się tyczy prawa kanonicznego naszego wschodniego kościoła — i tutaj nie jestem specjalistą; wszelako to już znanem mi jest dobrze, co z tych wschodnich kanonów weszło do ustawy policyjnej »o przeszkadzaniu i zapobieganiu przestęp-

stwom«. Tak panowie, wszyscy przecież znamy tę ustawę. W jej 3-cim artykule napisane jest: »do cerkwi Bożej będziesz chodził z bogobożnością, lecz bez natarczywości«. Nie mylę się (tu mowca przybliży świecę i czyta z książki) tu stoi napisane wyraźnie: »bez natarczywości«. A... szanowni panowie, a jakże to... z nahajką? he? Nie, jak sobie chcecie, ale z nahajką nie wypada. Chcesz iść bracie do kościoła, zostaw nahajkę na zewnątrz, a wchodź tylko z pobożnością, a bez nahajki, bo przecież istnieje 3 artykuł ustawy policyjnej«.

Cytujemy dalej:

»Poprzedni mowcy apelowali do szlachetnych i podniosłych uczuć. Przypuśćmy, że jestem z nich całkowicie wyzuty, że jestem tylko notaryuszem, który nic nie czuje, a tylko notuje uważnie i wiernie; to jednak ten brak wznioślejszej podniety nie pozbawia mnie krytycyzmu i z tego, co usłyszawszy zanotowałem, widzę, gdzie tu jest prawda, a gdzie kłam. I ten brak uczucia nie wyzuwa mnie jeszcze ze zdolności rozumowania, obliczania przyczyn i skutków. I cóż będzie, panowie, jeśli tym ludziom odbierzemy ich religię, ich świętą wiarę! Co się zostanie?... Rolnictwo i rząd, hodowla bydła i dyscyplina. Nie, to trochę za mało, z tem daleko nie zajdziemy«.

W końcu, robiąc aluzję do drażliwej materii, wykluczonej, jak to wyżej zaznaczyliśmy, z sądowych rozpraw, mowca tak swą myśl wyraził:

»Może was dziwi, dlaczego owe kobiety tak długo i tak uporczywie trzymały się ołtarza, dlaczego zresztą tak zawczasu poszły do kościoła. Postaram się to objaśnić. Notowałem dokładnie i podług mojej statystyki, tam były nie tylko stare kobiety, przeciwnie przeważną większość stanowiły dziewczęta i młode mężatki. Bo jak to powiedzieć, widzicie panowie, mimo całego sekretu ze strony administracyi, do Kroź dobiegła głucha wieść,

że kozaki idą. Więc jaki taki powiada sobie: kozaki idą, toż trzeba ukryć siostry, żony i córki, kryć jak najbardziej, jak najbezpieczniej, więc chyba w kościele, bo... rozumiecie panowie... kozaki idą«.

Przemawiający z kolei adwokat K. Biały, co do wyznania prawosławny, ale polskiego pochodzenia i mieszkający w Wilnie, licząc się z miejscowymi warunkami, zmuszony był trzymać swe przemówienie w granicach samych faktów, nie wdając się w ich szersze oświetlenie. W tych skromnych granicach robił, co mógł, a w szczególności opracował starannie t. zw. *alibi* i uporządkował następstwo wypadków w ich chronologicznym rozwoju.

Piąty z rzędu obrońca, książę A. J. Urusow, miał za zadanie szczegółową krytykę wywodów prokuratora i z zadania tego świetnie się wywiązał. Padały tedy kolejno pod taranami zręcznej argumentacyi: i metoda śledztwa pierwiastkowego i zbyteczne hołdowanie poglądom administracyi i nareszcie całe rusztowanie dowodów, niesprawdzonych należycie wobec chwiejności lub małoduszności świadków z urzędniczej kohorty.

Mowa księcia Urusowa była stosunkowo krótka, widocznie ciało obrończe rezerwowało jednego ze swych członków do drugiego głosu.

Adwokat A. N. Turczaninow, któremu przypadł w udziale głos ostatni, stosownie do przyjętego przez obronę planu, zebrał raz jeszcze w obrazową całość to, co przez poprzednich mowców wypowiedzianem zostało, w szczególności zaś zajął się wytrawnem oświetleniem teorii »O udziale w przestępstwie« i na jej gruncie wykazywał, iż klienci jego (Dobkiewicz z żoną i inni) w żadnym razie odpowiadać nie mogą za skutki czynów cudzych, od nich niezależnych i w swoim czasie przewidzieć się niedających. Powróciwszy do głównej akcji, objętej trzecim punktem aktu oskarżenia, bronił szczegółowo swoich klientów z tej grupy, a następnie, prze-

mawiając do ogólnego poczucia sprawiedliwości i humanitarnych wymagań, temi zakończył słowa: »Jeden z moich klientów, Stanisław Norkus, uniknął okrutnej egzekucyi na krożańskim rynku, bo właśnie, gdy na niego stojącego w szeregu skazańców, przychodziła straszna kolej, niespodzianie zjawiała się szczęśliwa przeszkoda. Jaka? Posłuchajmy Norkusa. On powiada, że pod wieczór przyjechał jakiś pan, po którego przyjeździe już nie bito. Norkus nie umie opowiedzieć, kto był ten zwiastun ratunku, ten poseł ze świata dobrej woli; ale on pamięta jedno: ten pan miał mundur z zielonym kołnierzem, mundur naszego ministerium. Panowie sędziowie, niechże ten mój nieszczęśliwy klient, niech ja, niech my wszyscy mamy tę pociechę, że w tym mundurze niejeden taki prawdziwy człowiek chodzi, że jest ich więcej w naszym obszernem państwie, że jest ich więcej i w tej sali i... za tym waszym stołem».

Po zakończeniu obron tą piękną apostrofą, zabrał ponownie głos prokurator i w godzinnej mowie zbijał zdania obrońców tak co do określenia roli niektórych podsądnych, jak i w zakresie kwalifikacyi prawnej, — a w końcu i oceny pobudek, jakie kierowały podsądnymi, były genezą ich czynów. Co do tej ostatniej kwestyi powtórzył znane już czytelnikom poglądy z poprzedniej swej mowy.

W odpowiedzi prokuratorowi główną i najobszerniejszą replikę zaimprovizował książę Urusow. Żałujemy, iż nie zdążyliśmy jej odnotować, zasłuchani w słowa utalentowanego mowcy, który po mistrzowsku, metodycznie, a swobodnie, odpierał cięcia publicznego oskarżyciela, a zręczność argumentacyi podnosił siłą pewnego, szlachetną walką wywołanego, nerwowego podbudzenia i ozdabiał kwiatami naturalnej wymowy.

Ostatnie przemówienie, jakby krótkie nawiązanie tonów do pierwotnej zasadniczej nuty, przypadło czy to wypadkiem, czy podług obmyślanego planu, adw. J. M. Kamińskiemu. Oto jego słowa:

»Pan prokurator źródło odporności tych ludzi widzi w »ekstazie religijnej«, podsycanej przez »inteligencyę i gazeciarską propagandę«. Przedewszystkiem, po co tu nagromadzono tyle obcych wyrazów, odbijających sztuczne, naleciałe idee? Rosyjski słownik zna mocniejsze wyrazy, a umysł tych ludzi woli prostsze pojęcia. Po co »ekstaza religijna tam, gdzie jest silna wiara. Podmuchy inteligencyi?! Wpływ żurnalistyki?! Do Betleemskiej stajenki wpierv przybiegli prostaczkowie, niż mędrcy, a wcześniej, niż gazety, o wiele wcześniej, była już silna wiara. Była i jest«.

Prokurator nie zażądał ponownego głosu.

Prezydujący zamknął dyskusyę i na cały dzień odroczył posiedzenia, celem wygotowania przez Izbę pytań prawnych. Odczytano je dnia następnego, tj. 29 września (st. s.) 1894 r. o godz. 12 w południe, a w siedm godzin później ogłoszonym został i wyrok.

Treść wyroku znaną jest z dziennikarskich sprawozdań, wiadomem jest również, że zgodnie z opinią sądu, przedstawioną przez ministra sprawiedliwości już za obecnego panowania, cesarz Mikołaj II wszystkich skazanych ułaskawił.

Objaśnijmy bliżej tę procedurę i zadokumentujmy fakta.

Izba sądowa, jako sąd koronny, chociaż z udziałem przedstawicieli stanów, nie miała prawa własną swą władzą uniewinniać oskarżonych, którym udowodniono, iż spełnili czyny karą zagrożone; trzymając się tedy ściśle kodeksu, Izba podzieliła tych podsądnych na kategorie i w każdej z nich skazała pewną liczbę osób,

stosownie do stopnia udziału i natury osobiście spełnionych czynów. W szczególności skazani zostali: Markiewicz, Brażłowski, Rymkus i Żukowski na pozbawienie wszystkich praw stanu i 20 lat ciężkich robót; Piotrowicz, Jezierski i Rymgajło (szlachta) na zamieszkanie w gubernii Tobolskiej; Zajewski, Szarowski, Karpowicz na rok rot aresztanckich; Lutowicz i Marczewski na 4 miesiące więzy; Burbo, Strukus, Sawnor, Gertruda Pietkiewicz, Bucewicz, Monika Pietkiewicz na 3 tygodnie aresztu więziennego; Szypiłło, Widajkis, Czyżewski, Kimont, Grigullo, Agata Stefankiewicz, J. Jarulajtys, Wiktorya Biełogłowajtys, Iwanowski, Andrulis, Weronika Penikajtys, Marcelina Dąbrowska i Anna Czytajkis na 3 tygodnie; Zawadzki, Mochus, Gożewski i Domicela Jerulajtys na 7 dni aresztu policyjnego, małoletni Feliks Trakszelis na karę domową.

Uniewinniono osób 32.

Wszelako skazania, o jakich wyżej mowa, wyrzeczone zostały, jeśli tak powiedzieć można, teoretycznie; jednocześnie bowiem izba sądowa postanowiła przedstawić wydany przez siebie wyrok do monarszego ułaskawienia, a to z mocy artykułu 775 ust. post. kar., który w rosyjskiej procedurze karnej jest punktem wyjścia w tych wypadkach, gdy sąd koronny wbrew literze prawa, a w myśl głębszego poczucia sprawiedliwości, nie uważa za właściwe karać za czyn, wpływem wyjątkowych okoliczności działający.

Sądy niezmiernie oględnie korzystają z tego artykułu i Izba sądowa wileńska, stosując go w danym wypadku, złożyła niewątpliwie dowód uczciwej sumienności i szlachetnej odwagi cywilnej.

Wytłómaczymy to jaśniej. W motywach takiego wyroku, czy w oddzielnym memoryale, trzeba było bądź co bądź wskazać wyraźnie na gorszące nadużycia admi-

nistracyi i przedstawić je samemu panującemu, — a to w miejscowych stosunkach jest już bardzo wiele.

Sprawa krożańska, jako proces sądowy, jest faktem oderwanym, a przecież nadużycia, podobne do tych, jakie ową sprawę wywołały, nie są wyjątkowemi. Kto je tutaj przynajmniej do pewnego stopnia zdemaskował? Sąd.

Bodajby to budzenie się szlachetniejszych obywatelskich porywów w sferze rosyjskich prawników, było pouczającym przykładem i zapowiedzią ogólniejszej walki lepszych żywiołów z nikczemną samowolą, gniotącą nieszczęśliwe masy w imię politycznej chimery, a w gruncie rzeczy w imię osobistych interesów i dzikich instynktów urzędniczej partyi.

Partya ta długo jeszcze starać się będzie węzowemi sploty krępować wznioślejsze instynkty młodego monarchy, będzie mu groziła widmem urojonych potworności, wysmażonych we własnym kotle czarowników z pod Sieniego mostu, będzie mu zasłaniała oczy krwawą płachtą z Aleksandrowskiej Słobody, sztucznie wybiealoną w podziemiach św. Synodu.

Czy dobry geniusz zwycięży? Zobaczmy.









ELBLĄG

WOJEWÓDZKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA

7547

Biblioteka Elbląska

L-7547



103-007547-00-0